

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 6 WRZEŚNIA 1930 ROKU

NR. 36

TREŚĆ NUMERU: O moralną zasadę pracy — *Natalja Jastrzębska*. Tradycyjna nieufność — *Helena Spoczyńska*. Nieudana sprawa — *Kazimiera Mazurkova*. W Parku amerykańskim — *M. Znatowicz-Szczepańska*. Dwa głosy delegatek Kongresu Pen-Klubu. Pomorskim szlakiem Fidac'u — *Stefanja Podhorska-Okołów*. Z wystaw — *S. P. O.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Seminarjum gospodarcze w Jazłowie — *Pani Elżbieta*. Hodowla roślin cebulkowych i kłączowych — *Wanda Dobrzańska*. Kaczki — *A. D.* Przepisy gospodarskie. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i Roboty”: Horoskopy — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

O MORALNĄ ZASADĘ PRACY

Zastanawiałam się niejednokrotnie nad ogromnie częstym, przysłowiowo zresztą zobrazowaniem powiedzeniem o kobiecej zmienności.

Kobieta jest zmienna, niestała, kapryśna — oto powszechna opinia o jej psychice.

Uważam, że bardzo niesłuszna.

Kobieta nie jest zmienna, ani niestała. Jeżeli niestałość może być atrybutem płci, to raczej męskiej. Któż bowiem uwodzi, kto nie dotrzymuje wierności? Przecież najczęściej mężczyzna.

Z drugiej zaś strony: gdzie znajdujemy przywiązanie, trwające życie całe, zupełne nieraz zatracenie siebie w uczuciu dla męża, domu, dzieci? — U kobiety. Kapryśna? Może niekiedy, powiedziała-bym jednak, przeważnie — różnorodna.

Stare przysłowie mówi, że „Pan Bóg różnych ma stołowników”, i prawda, że niema pewno dwóch ludzi o identycznych charakterach, ale, na podstawie dobrej obserwacji życiowej, stwierdzić można, że mężczyźni są o wiele więcej... standaryzowani.

Naturalnie, różnią się temperamentem, przekonaniami, upodobaniami, bezwzględnie, ale jednocześnie mają niektóre, wspólne platformy życiowe, ogólnie przez wszystkich uznane i przyjęte teorie. Na sprawę np. odpowiedzialności honorowej, solidarności „męskiej”, obowiązku, nawet dla najzamożniejszych, jakieś pracy zawodowej, zdobycia w życiu niezależnego stanowiska — wszyscy mężczyźni zapamiętują się jednakowo i stosują się do pewnych, zgóry określonych prawideł.

Słusznie, czy nie, ale tak jest, przynajmniej u lu-

dzi, stojących na względnie jednolitym poziomie umysłowym i towarzyskim.

A kobiety?

U nich właśnie, w zupełnie jednakowej „sferze”, zaznaczają się różnice tak wielkie, że doprawdy, trzeba poważnie zastanowić się nad nimi.

W jednym i tym samym kraju, w jednym mieście, w podobnych zupełnie środowiskach, znajdujemy kobiety tak odmienne, jakby dzielił je co najmniej kilkudziesięcioletni szmat czasu.

Jedne osiągają wykształcenie, zdobywają stanowiska, walczą o byt i o postęp, gorliwie pracują społecznie, idą w życie z całym rozmachem samodzielności i poczucia odpowiedzialności własnej; inne pędzą życie w doskonałym kwietyzmie, za całe zadanie uważając albo, mocno już skrócone i uproszczone gospodarstwo domowe, albo poprostu beztroskie życie panieńskie, urozmaicone czekaniem na... męża.

Sprawa wyboru zawodu życiowego, zdecydowania, czym zająć się, poza sprawami rodzinnymi i domowymi, czym być, jako człowiek, obowiązany do pełnego i sumiennego rozwoju swych wartości, jest ciągle jeszcze sprawą przypadku, nie przestając nawet być sprawą sporną.

Całe rzesze kobiet są jeszcze przecież przeciwniczkami kobiecej pracy zawodowej, stwierdzając, że, nawet jeśli pracują, to tylko dlatego, że zmusza je do tego konieczność ekonomiczna.

A w życiu dzieje się identycznie tak samo: jeżeli warunki materialne są wyjątkowo trudne, młoda dziewczyna myśli o wyborze jakiejś pracy, bo po-

trzeba jej poprostu pieniędzy na częściowy choćby udział w budżecie domowym i na osobiste wydatki. Jeżeli nie zachodzi ten wypadek, jeżeli rodzice mają na codzienne potrzeby i przyjemności córki, panienka nie robi nic.

Jednocześnie zaś widzimy fakty diametralnie różne: młode panny, lub nawet mężatki, rozporządzające nieraz poważnymi finansowymi podstawami, kształcą się i pracują, wyrabiając sobie własne, niezależne stanowiska.

I to wszystko, jak wyżej powiedziano, w jednakowych zupełnie warunkach środowiska, często w jednym rodzinie.

Tego właśnie w społeczeństwie męskim nie znajdujemy. Trafiają się naturalnie wśród mężczyzn zawodowe nieroby, ale to są wyjątki. Zasadniczo jednak każdy normalny, dorosły osobnik męski czuje, że musi być w życiu odpowiedzialną, samodzielną jednostką, niezależnie od tego, jakie są jego materialne warunki. Kobiety zaś wykazują w tej ważnej sprawie jaknajdalej idącą niejednolitość poglądów.

Jedne z przekonania, jak to się niejednokrotnie zaznaczało w polemice, prowadzonej w tej sprawie w „Bluszczu“, inne właśnie z braku jakiegokolwiek określonego poglądu.

Co jest tego powodem?

Naturalnie to, że idea pracy samodzielnej jest względnie nowa, i nie wrosła jeszcze głęboko w psychikę kobiecą — dlatego trzeba o tem mówić, dyskutować i przekonywać.

Nie mam zupełnie zamiaru kruszyć kopji o zasadę, że każda młoda dziewczyna powinna szukać „posady“, a każda mężatka pracować zawodowo poza domem.

Osobiście uważam, że można pracę zawodową pogodzić z obowiązkami domowymi i, że jakkolwiek wielkie i ważne są te obowiązki, stanowią one mogą być główne, ale bądź co bądź nie jedyne zadanie w życiu kobiety. W tej chwili bowiem chodzi mi nie tyle o materialne wyniki pracy, ile o jej zasadę moralną.

Czasby już było wyrobić sobie jednolity pogląd na obowiązek każdej kobiety względem życia i względem siebie samej i trochę tę zasadę rozpoznać.

Sprawa ta najważniejsza jest i najbardziej aktualna dla młodych dziewcząt, dla tych, które rozpocząć mają życie. Jak co rok, tak i obecnie, znaczna ich ilość wchodzi właśnie o tej porze „w świat“. Po maturze i wakacyjnym wypoczynku nadchodzi czas zastanowienia się, co robić?

Czas zastanowienia dla tych właśnie niezdecydowanych i nieprzekonanych; te bowiem, które mają określone poglądy i pragnienia, dokonały już dawniej wyboru nowej drogi.

Jednakże, jak widzimy, dużo jest tych, które o tem nie pomyślały.

Są w domu, mają wszystko zapewnione, skończyły szkołę (czasem nawet i to nie), są „dorosłe“, czyż to nie wszystko?

A co będą dalej robiły?

Właśnie, dosłownie *robiły*. Sprawy domowe, na prawdę, nie zajmują im zbyt wiele czasu, więc — tenis, spacer, kawiarnia, dancing, trochę lektury (niezawsze dobrze dobranej) — czyż to jest zajęciem miejsca w życiu, a choćby bodaj przygotowaniem do przyszłych obowiązków rodzinnych?

Ironja chyba, a jednak rozejrzyjmy się, ileż dziewcząt wkoło nas tak życie rozpoczyna i uważa to za zupełnie normalne! Tu właśnie leży punkt ciężkości, tu sprawdzić można dotykalnie zasadę, że praca nie tylko daje podstawę materialną, ale rozwija wartość człowieka, hartuje nie tylko ciało, ale i duszę, wyrabiając poczucie godności osobistej, racjonalny pogląd na życie, praktyczność i zrozumienie właściwego celu istnienia.

Praca ta powinna być zastosowana do zdolności, upodobań, położenia materialnego, bezwątpienia, ale powinna stać się zasadą, dla wszystkich obowiązującą.

Czy to będzie uniwersytet, czy studja, udostępniające szybszą pracę fachową, czy zawód społeczny, artystyczny, czy samokształcenie, czy kursy gospodarstwa, pielęgniarstwa i pedagogiki na własny, rodzinny użytek; czy da to ekwiwalent materialny, czy tylko wartość moralną przyniesie, czy będzie zakończone dyplomem, czy tylko umysłowym rozwojem, ale niechże będzie i niech każda kobieta uzna tę pracę za swój zwykły obowiązek, tak, jak obowiązek pracy zawodowej uznaje każdy mężczyzna.

Patrzmy na przykład choćby Anglii, gdzie dziewczątki panien z arystokratycznych rodów przechodzą kursy pielęgniarstwa, pracują w szpitalach, gdzie kobiety bogate wybierają sobie zawód lotniczy, właśnie dlatego, że wymaga on jeszcze dużych środków finansowych, gdzie młode panny z rodzin polityków i dyplomatów wstępują na drogę kariery ojców i mężów, jak posłanka panna Megan Lloyd George, lub pani Corbett-Ashby, nie z konieczności materialnej, ale dla celu i ideału pracy.

Pracujmy, stosownie do stanowiska społecznego i potrzeb życiowych, ale róbmy cokolwiek.

Jeżeli upowszechni się ta zasada, jeżeli przyjmą je wszystkie kobiety, będzie wśród nich napewno mniej nudzących się i zabijających czas flirtem, a w rezultacie mniej rozwodów i nieszczęśliwych małżeństw, a o wiele więcej lepiej wychowanych dzieci i zgodnych rodzin.

No, i napewno więcej dokonanej pracy w Polsce, w której tyle jeszcze najważniejszych zadań czeka na chętne ręce i odpowiednio przygotowany mózg.

Natalja Jastrzębska.

HELENA SPOCZYŃSKA.

TRADYCYJNA NIEUFNOŚĆ

Powszechnie wiadomem jest, że dopuszczono kobiety w wolnej Polsce do studjów wszelkiego rodzaju i przyznano im prawo korzystania z dyplomów na drodze wykonywania pracy zawodowej. Jednym z następstw tego prawa jest tłumny udział kobiet w pracy nauczycielskiej, przede wszystkim w żeńskich szkołach powszechnych i średnich, częściowo w męskich i wyjątkowo na wyższych uczelniach.

Mam wrażenie, że powierza się kobietom tę pracę — jak i wiele innych — pod przymusem konieczności: z powodu braku sił męskich, dyplomowanych lub niedyplomowanych, gdyż właśnie kobiety mają często dyplomy i mogą się poszczycić takim dorobkiem zawodowym lub naukowym, że najzagorzalsi przeciwnicy kobiecej pracy, kobiecej „naukowości”, muszą im przyznać pierwszeństwo.

Niemniej jednak, mimo tej oceny, nie korzysta się ze zdolności danej jednostki, bo to kobieta, pozwala się jej ginać w złych warunkach, jak to było niedawno z wybitną uczoną w dziedzinie psychologii dziecka — ś. p. Jotejko. Przy wysyłaniu na zjazdy, studia, stanowiska kierownicze, prawie zawsze wybiera się — mimo równych kwalifikacyj dyplomowych — mniej zdolnego mężczyznę, a nie bardziej zdolną kobietę.

Decyduje o tem zazwyczaj tradycyjna nieufność do pracy kobiecej. W imię sprawiedliwości trzeba jednak przyznać, że niektórzy z mężczyzn łatwo ustępują przed istotną wartością pracy i popierają ludzi zdolnych, bez względu na ich płeć. Wielu jest takich profesorów uniwersytetów polskich, wielu zwierzchników, uznających tę samą zasadę; większość natomiast trwa w nieufności i niechęci, mimo przekonujących faktów.

Co do pracy nauczycielskiej, to nawet w żeńskich szkołach rodzice naogół mają więcej zaufania do nauczyciela, jako do mężczyzny; do nauczycielek odnoszą się nieufnie, często nieżyczliwie, lub pogardliwie. Oczywiście, że sprawiedliwsze, inteligentniejsze jednostki i tu łatwo zmieniają zdanie. Ale ponieważ na świecie jest więcej niesprawiedliwości, więc przykre i nieuzasadnione ustosunkowanie się trwa nadal.

Istnieje też w Polsce dzielnica (mowa o t. zw. Górnym Śląsku), gdzie ani jedna kobieta nie uczy w męskim gimnazjum i gdzie nawet w niektórych gimnazjach żeńskich dąży się do obsadzenia wszystkich posad przez mężczyzn, w imię jedynie tradycyjnego „niełubienia pracy kobiet”, bez względu na wartość tej pracy, bez względu na szkodę, jaką się wyrządza przez powierzanie wychowawstwa dziewcząt

mężczyznom, zupełnie do tej roli się nie nadającym.

Przy obsadzaniu posady dyrektorskiej pewnego gimnazjum żeńskiego miarodajne czynniki nie rozpatrywały nawet zgłoszenia kobiety (choć miała b. wysokie kwalifikacje) tylko dlatego, że była kobietą. W imię bezstronności trzeba dodać, że dzięki chwilowo pomyślnemu zbiegowi okoliczności, dyrektorkami w dwóch średnich zakładach zostały przed kilku laty kobiety — jedna ślązaczka, druga z poza Śląska. Oczywiście, w myśl ustawy o celibacie nauczycielek, mogą sprawować swoje funkcje tylko do czasu zamążpójścia.

O mianowaniu wizytatorek dla szkół żeńskich na Śląsku niema mowy z powodu muru przesądów i ślepej, podejrzliwej nieufności.

Tymczasem, na mocy doświadczenia, na mocy obserwacji oraz lektury z zakresu wychowania, twierdzę, że kobiety-nauczycielki, zarówno w męskich, jak i w żeńskich szkołach, prawie zawsze sumiennie pracują i są lepszymi wychowawczyniami, szczególnie dla dziewcząt i chłopców małych (do lat 6—7), a potem od piątej, szóstej gimnazjalnej; dopiero w starszych klasach potrzebne jest i wychowawstwo męskie.

Wysiłki kobiet sięgają powszechnie dalej i głębiej, niż doprowadzenie klasy zapomocą tresury do „spokojnego zachowywania się na lekcji”: kobietę-nauczycielkę interesuje życie dziecka w domu i poza domem; trudności, z którymi walczy, radości i smutki dziecięce — może dlatego, że drzemie w niej nieświadomie macierzyńskie ustosunkowanie się do dziecka, może z powodu większej wrażliwości, a może jeszcze dla innych przyczyn. Dość, że troszczą się o wychowanków i poza lekcjami, wkładając wiele *bezinteresownej pracy* w różne organizacje, wydawnictwa pism, rozrywki i imprezy artystyczne, urządzane przez młodzież. Ileż miłego trudu pochłania przyjaźń z młodszym pokoleniem!

Sądzę, że walorami pierwszorzędnymi tej pracy jest zmysł rzeczywistości, silnie rozwinięty u kobiet, a zarazem zdolność do intuicyjnego wnikania w zawile sprawy życia, wraz z umiejętnością harmonizowania ideału z codziennością, spraw wielkich z drobnymi, a oprócz tego wiele entuzjazmu i wytrwałego oddania się zawodowi nauczycielskiemu.

O pierwszorzędnym dorobku wychowawczej pracy kobiecej przekonały mnie także systemy i szkoły miss Helen Parkhurst (Dalton-Plan), Montessori oraz szkoły, prowadzone przez kobiety t. zw. metodą projektów. W Polsce kobiety położyły duże zasługi przy wprowadzaniu lepszych metod nauczania i wy-

chowywania, np. p. Dr. Janina Antoniewicz — nie-
strudzona pionierka szkół-ogrodów w Polsce; p. Jad-
wiga Młodowska, dyrektorka seminarjum nauczyciel-
skiego w Chełmie Lubelskim, która wprowadziła
system daltoński; przed wojną p. Stefania Marci-
szewska, twórczyni lepszej metody w nauczaniu re-
ligji, organizatorka przedszkoli-ochronek i wycho-
wawczyni ochroniarek nowego typu. O zasługach
ś. p. Jotejko już wspominałam.

Nie znaczy to, że, mówiąc o wartości pracy
pedagogicznej kobiet, przekreślam wartość męskiej
pracy pedagogicznej. Jest ona wielka, czcigodna, wie-
lekrotnie uznana, więc nie potrzebuje obrony.

Ponieważ kwestja nauczycielskiej pracy kobie-
cej w męskich zakładach jest dotąd jeszcze b. sporna,
ponieważ wielu mężczyzn uczy w żeńskich zakładach,
co, mojem zdaniem, niejednokrotnie jest niewłaściwe,

lub wręcz szkodliwe — przeto odwołuję się do szer-
szej opinji i proszę o wypowiedzenie się co do na-
stępujących kwestyj:

1) Czy w szkole żeńskiej powinny uczyć i wy-
chowywać tylko nauczycielki, czy też i nauczyciele?
Dlaczego?

2) Czy ze względów pedagogicznych i wycho-
wawczych pożądanem jest, aby nauczycielki prowa-
dziły naukę w szkołach męskich?

3) Jeśli tak, to do których klas najbardziej są
potrzebne i dlaczego?

4) Czy kierownictwo żeńskiego zakładu powinno
spoczywać w rękach kobiety?

Rzeczowe odpowiedzi pozwolą zorjentować się
co do istoty sprawy i nastrojów społeczeństwa, a może
i sprostować szereg mylnych poglądów, pod których
autorytetem żyjemy i nieraz błędnie, jak mi się wy-
daje, postępujemy.

KAZIMIERA MAZURKOWA.

NIEUDANA SPRAWA

I.

Wehódząc na jour do Miny Lempke, Agata Szcza-
niecka nie miała zupełnie chęci do zabawy. Pomyśleć
tylko! Stare pannisko i koniec. Tylko, że Mina umiała
tak jakoś!... Z tym pogada, tego niepostrzeżenie wpro-
wadzi w kącik, gdzie ziewa samotna pani, innym
znów rzuci od niechcenia temat do rozmowy. I żeby
to z naciskiem, ale nie! Zupełnie jakby sama nie wie-
działa, co robi.

Posadziła Agatę między profesorem Miklasem i
swoim własnym mężem (bo tych mamutów chyba jed-
na Agata zająć może). Rozmowa zawiązała się pręd-
ko. Po kwadransie Agata perorowała, jak u siebie
w domu, skandując rytm wypowiedzanych myśli stu-
kaniem dłonią w poręcz fotela. Profesor przerywał jej
czasem, ale zanim odchrząknął i poprawił binokle,
nurt wymowy Agaty płynął dalej z niepowstrzymaną
siłą.

Mina zaraz zauważyła, że Agata podoba się pro-
fesorowi. Przysiadła się z miłym uśmiechem, chcąc
się czegoś dowiedzieć z biegu rozmowy, ale cóż — ga-
dali o społeczeństwie, o ewolucji prawa małżeńskiego,
o różnych tam takich bredniach, więc uciekła. Cho-
ciaż lubi poważne tematy, oczywiście, bardzo, bar-
dzo... Ale Irka właśnie zaczęła się z nią żegnać i zaga-
dały się we drzwiach na śmierć.

Tymczasem Agata rozwijała przed profesorem
swoje plany.

— Małżeństwo może z czasem przestać istnieć,

ale teraz uważane jest za instytucję, i to poważną.
Tak, czy nie? Możemy je zwalczać, jako przeżytek,
możemy dążyć do zniesienia go, jako instytucji praw-
nej, ale póki ono istnieje, musi mieć sankcję prawa
za sobą. Tak, czy nie?

Profesor starał się jej przerwać:

— Hm, hm... pozwoli pani...

— Chwileczkę! Jeśli więc uznajemy małżeń-
stwo za nierozzerwalne, musimy dążyć do uczynienia
go takim. Obecnie jest ono częścią komedjy, którą od-
grywa się z powodzeniem cały szereg razy. Dążymy
do zniesienia małżeństwa, ale póki ono istnieje, żądamy
jego nierozzerwalności. My, prawnicy, musimy stać
na tym gruncie.

Profesor otworzył usta, aby jej odpowiedzieć:

— Ależ...

— Zaraz. Konkretyzuję tedy: pragnąc czegoś do-
konać, trzeba działać. Jeśli stoimy na gruncie nieroz-
zerwalności małżeństwa, nie wystarczy mówić o tem,
trzeba czynem dopomóc idei.

Zdumiony profesor nie przerywał.

Spojrzała na niego znacząco.

— Rozumie pan?

— Obawiam się, że niezupełnie! — wyjąkał,
zmieszany.

— Zaraz objaśnię panu, jakim sposobem posta-
nowiłam zamienić w czyn teorję, o których mówili-
śmy przed chwilą. Przez cały szereg lat studjowałam
prawo: początkowo w kraju, potem w Niemczech,

Francji i Anglii. Ostatnie dwa lata spędziłam w Ameryce. Otóż wszędzie to samo: masowe rozwody, częstokroć dla głupstwa. Powody tak błahe, że aż śmieszne. Pomyślałam sobie: tym ludziom należałoby pomóc.

— Ależ... Kancelarje adwokatów konsystorskich robią wspaniałe interesy! — wtrącił profesor.

— Właśnie! — zatriumfowała Agata. — Ale ja myślę o czemś przeciwnym, zupełnie, krańcowo przeciwnym. Jeśli ktoś ma stare dziurawe buty, to albo wyrzuca je, albo łąta. Kancelarje adwokackie, o których była mowa, pomagają wyrzucać stare obuwie. Ja chciałabym je łątać. Teraz pan zrozumiał?

Profesor wytrzeszczył oczy:

— E? Pani chyba żartuje?

Nie, nie żartuję! „Biuro reparacji małżeństw“, to wcale dobrze brzmi. A mówią, że „dłużej starego, niż nowego“. Niech pan pomyśli: co to za wzniosły cel, jakie wielkie pole do działania! Niejedno małżeństwo, rozpadłszy się pod wrażeniem chwili, żałuje wkrótce swego kroku. A ile dobrego możnaby zrobić, usuwając, lub pomagając w usunięciu przyczyn, o jakie rozbija się czyjeś zgodne pożycie! Tylko na to trzebaby wytrawnego psychologa i doświadczonego prawnika, któryby zechciał dać dyrektywę. I dlatego, ujrawszy tu pana, pomyślałam...

Profesor zerwał się z fotela.

— Droga pani, proszę mi wybaczyć, ale zapomniałem o niesłuchaniu ważnem zebraniu. Godzina już późna i muszę się bardzo śpieszyć. Bardzo mi było miło... bardzo... Cóż, kiedy te nieznośne obowiązki odrywają mnie...

Pożegnał się z gorączkowym pośpiechem, ucałował rękę pani Miny i pomknął ku drzwiom tak szybko, jakby mu ubyło lat, conajmniej, dwadzieścia.

Zdumiona pani domu przeprowadziła go wzrokiem, a potem podeszła do Agaty.

— Co się stało profesorowi, że uciekł? — zapytała nieufnie.

— Podobno miał zebranie, czy coś. Ale myślę, że raczej przeląkł się moich teoryj — odpowiedziała zamyślona Agata.

— Szkoda, Agatko. Podobałaś mu się zupełnie wyraźnie... Myślałam, że tym razem...

— Mino, Mino! Uspokój się! Twoje plany matrymonjalne spełzną na niczem, teraz jest zupełnie mały popyt na stare panny! I to w dodatku — doktorki praw. Pomyśl, frywolna kobietko, co to za miłe perspektywy otwiera. A zresztą, ja nie wyjdę zamaż.

— Dlaczego, szalona głowo? Przy twojej urodzie? Nie pozwól ci zostać starą panną!

— Już nią zostałam bez żadnych przeszkód — powiedziała poważnie Agata — i nie było nikogo, kto by mi zabronił. To jest, źle mówię, był jeden, niejaki pan Wontrupka. Ale, popierwsze, lepiej jest być panną Szczaniecką, niż panią Wontrupka, nawet przez p.

a powtórę... Czy ty sobie wyobrażasz męża, któryby na żonę mówił czule: „Agato!“. No? Prawda, że nie? Już mam takie imię staropanieńskie, z predestynacji.

Cichy pan Lempke otworzył usta po raz pierwszy:

— Mógłby nazywać panią „Ata“, albo, Atuska, to bardzo ładnie brzmi.

Mina spojrzała ze zdumieniem:

— Bój się Boga, Karolku! A tobie skąd się to wzięło? Przecież to nie ma związku ani z garbarstwem, ani z yachtingiem. Może w którymś ze swoich podręczników sportowych znalazłeś ten pomysł?

Na złośliwość żony pan Karol miał tylko pełne wyrzutu spojrzenie dużych niebieskich oczu.

Agata nie mogła puścić płazem tej niesprawiedliwej zaczepki.

— Jeśli patrzysz na męża od strony podręczników sportowych, wielu rzeczy możesz nie zauważyć! — oburzyła się. — Otóż to są dzisiejsze małżeństwa! Yachting jest bardzo miłym sportem, proszę pana — zwróciła się do pana Karola. — Jeśli pan pozwoli, zaproszę się kiedyś na małą wycieczkę.

— Zrobi mi pani wielką przyjemność! — odpowiedział, patrząc z ukosa na żonę. Ale pani Mina wydeła leciutko usta.

— Jedźcie sobie, ja wolę dancing.

— Nie znoszę dancingów! — podjęła Agata zgryźliwym staropanieńskim tonem. — Rozsadniki epidemji rozwodowej, lokale niehigieniczne, urągające prawdziwej zabawie, skąd wynosi się miazmaty gruźlicy i demoralizacji...

Siedziała już znowu na swoim koniku i jechała... jechała...

II.

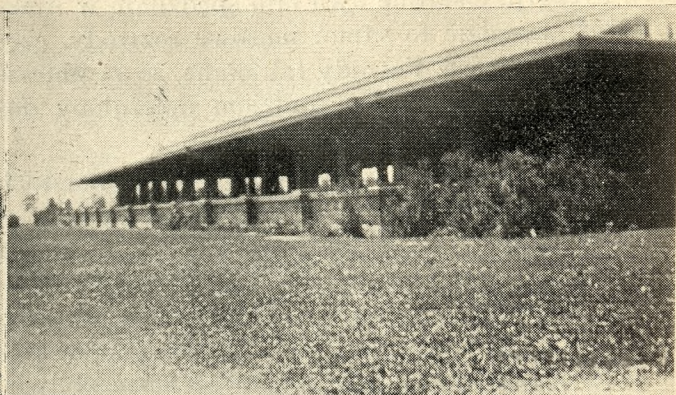
Agata patrzyła przez okno swojego biura na klon, świeżo rozkwitły na sąsiednim trotuarze. Drzewo wyglądało, jak owiane jasnozielonym oparem, przez który przeświecały delikatne gałązki. U stóp drzewa świecił jaskrawą zielenią kawałek młodego trawnika. Od polanego wodą asfaltu ciągnęło parnem ciepłem, a od kwitnącego klonu zapachem niewysłowionej, wiosennej radości. Głowa ciążyła jej trochę, jakby była niewyspana, a praca nie pociągała jakoś wcale.

Spędzała to lenistwo na przemęczeniu. Zorganizowanie i zainstalowanie biura „Reparacji małżeństw“ kosztowało ją wiele pracy, wysiłków, a nawet upokorzeń. Pomysł jej wyśmiewano w oczy i poza oczy. Ale postawiła wreszcie na swoim; biuro już działało dość sprawnie i posiadało kilku odważnych klientów.

Agata czuła się lekko, leciutko rozczerowaną, że publiczność nietylko nie rzuciła się hurmem do jej drzwi, ale okazywała wyraźną nieufność. Kilkakrotnie zapytywano ją, czy nie ma nic wspólnego z Armją Zbawienia, której ekspozytura istniała podobno w Warszawie. Dotykało ją to do żywego. (d. c. n.)



Miły odpoczynek nad jeziorem w pełnym słońcu południa letniego.



Weranda domu dla ubogich dzieci, założonego przez wydawnictwo dziennika „Daily News” w parku Lincolna w Chicago.

M. ZNATOWICZ-SZCZEPAŃSKA.

W PARKU AMERYKAŃSKIM

Chicago, w lipcu.

Parki amerykańskie! Nie znam angielskich, w których, zdaje się, podobna panuje swoboda. Ale to, co widziałam w Europie, to zwłaszcza, co mamy w Polsce w zakresie ogrodu publicznego — nie stoi w żadnym stosunku do przyjemności, wygody, walorów zdrowotnych parku amerykańskiego.

Przedewszystkiem — przestrzeń. Kilometry gruntu zadrzewionego, setki, tysiące trawników ogromnych, cudownie zielonych, oblanych słońcem; śliczne aleje wśród krzewów kwitnących — jedne dla samochodów, inne dla jazdy konnej, jeszcze inne dla pieszych; klomby kwiecista nieogrodzone, nasiane, gdzie się da, wprost dla rozkoszy wzroku i powonienia. Dużo wody — naturalnej, czy sztucznie zaprowadzonej — w Chicago wielki Michigan, który właściwie nie dotyka swymi falami innych przestrzeni, jak parkowe. To są ramy ogólne parku miejskiego w Ameryce. Zawierają one w sobie moc rozkoszy, dostępnych dla każdego i można ubawić się prawdziwie, obserwując życie w tych parkach, szczególnie w letnim sezonie.

Rano królują tam przeważnie wózek i mamy lub „nurse’y”. W dzień świąteczny zresztą opiekunki rodzaju żeńskiego są bardzo często zastępowane przez tatusiów, którzy ze znajomością rzeczy i największą pogodą wożą i niańczą swoje pociechy. Tatusiowie europejscy: avis au lecteur! Mali obywatele — jak najmniej ubrani, używają na spacerze w sposób niesłychany: wolno im leżeć na trawie i tarzać się po niej; wolno wlażyć na drzewa i myszkować po krzakach, grzebać się w piasku i brodzić po wodzie, albo chlapać się do nieprzytomności w specjalnych basenach, gdzie woda jest trochę ogrzana i sięga dziecku zaledwie do kolan.

Są w parku dzikie zwierzęta do oglądania, kuce do przejażdżki, łódki, gimnastyka, bezpłatny prysznic z kręcących się na trawnikach polewaczy. Co kilka ulic — biała budka z białymi ubranymi sprzedawcami zachęca do kupienia chłodnego napitku, a przede wszystkim lodów — ulubionego nieodzownego w Ameryce „ice-cream’u”. Rożek tego specjału koszt-

tuje 7 centów. Daleko mniej kosztują orzeszki, czekolada, cukierki i inne nieprzeliczone smakołyki. Poza-tem wszędzie widnieją baseny, w których tryska woda filtrowana i chłodna. Piją z nich ptaki i dzieci wprost dzióbkami z pod kranu.

Na każdym trawniku można w takim cudownym parku grać darmo w golfa, w tenisa, w base-ball. Ten- nis np.: jest to poprostu plac i siatka dla tego, kto przyjdzie pierwszy i kto przyniesie sobie rakiety i piłki. Niema zamawiania placu, godzin, czekania.



W kamiennych objęciach posagu.

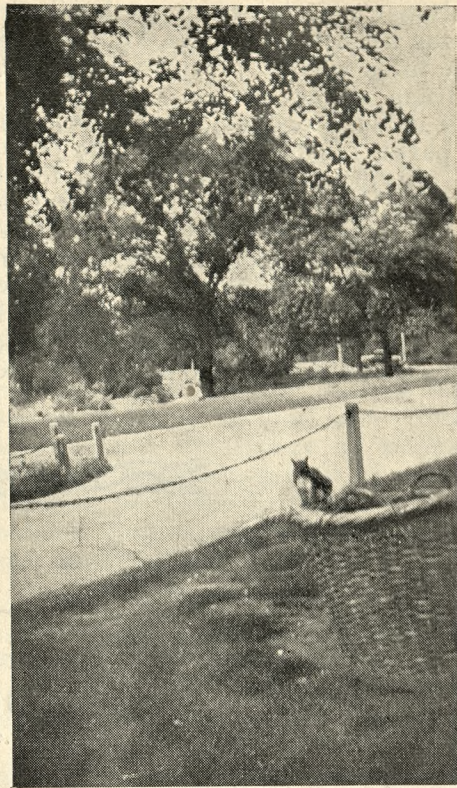
Idzie się tam, gdzie nie grają, i gra się — oto wszystko. Robią tak tramwajarze i funkcjonariusze autobusów w chwilach wolnych od służby i to jest widok dla mnie zawsze nanowo radujący...

Po południu, a zwłaszcza pod wieczór, fizjognomja parków zmienia się nieco. Element dziecięcy przestaje przeważać. Natomiast starsi robią mniej więcej to, co dzieci: śpią na trawie w cieniu drzew, lub wyciągnięci na ławkach; biorą kąpiele wodne i słoneczne; tresują psy, ćwiczą się w lekkiej atletyce, chodzą ubrani, a raczej rozebrani, jak im się podoba — w pydżamach, bez pończoch, w trykotach kąpielowych.

Co chwila można się natknąć na piknik rodzinny: kilka lub kilkanaście osób schodzi się lub zjeżdża na miejsce umówione; znoszą kosze i torby prowiantów, rozkładają wszystko na trawie, rozsiadają się naokoło — i jest majówka. Bywają tacy amatorzy, którym trawnik nie wystarcza: muszą mieć stół. Więc zarząd parku dostarcza im stołu, ławki znoszą sobie sami i wtedy już jest kolacja gorąca, jak się patrzy. Nikt słowa marnego nie powie za zaśmieszenie murawy i nikt się nie martwi, że park wieczorem jest literalnie usiany papierami. Przyjdą stróże, wyniosą kilka ton (tak jest!) papieru i znów jest czysto.

Przypomina mi się w tej chwili, jak policjant niemiecki nie pozwolił kiedyś mojej znajomej siedzieć na ławce tyłem do alejki. Ona obrała tę pozę ze względu na kierunek promieni słonecznych, uniemożliwiających jej robotę ręczną, gdy znajdowała się w pozycji, że się tak wyrażę, frontowej. Ale „Gartenwächterowi“ prowincjonalnemu wydało się to zbyt rażącym. Natomiast ławki w parkach amerykańskich tem się odznaczają, że nie mają stałych, niewzruszonych miejsc: każdy przesuwają je tam, gdzie mu jest dogodniej w danej chwili. I żeby nie wiem jaka niedziela, zawsze jest dość miejsca i w cieniu i w słońcu dla każdego. To może drobny szczegół, ale naprawdę bardzo przyjemnie jest ustawić sobie samemu ławkę, jak się podoba: daje to wrażenie, jakgdyby się było u siebie na wsi. Zresztą — komu na ławce niewygodnie, ten przynosi sobie hamak i buja się w plein-airze. A wszystko razem składa się na atmosferę bajecznej, niczem nie krępowanej swobody i prawdziwego wypoczynku dla nerwów, zmęczonych miastem i wyczerpanych pracą.

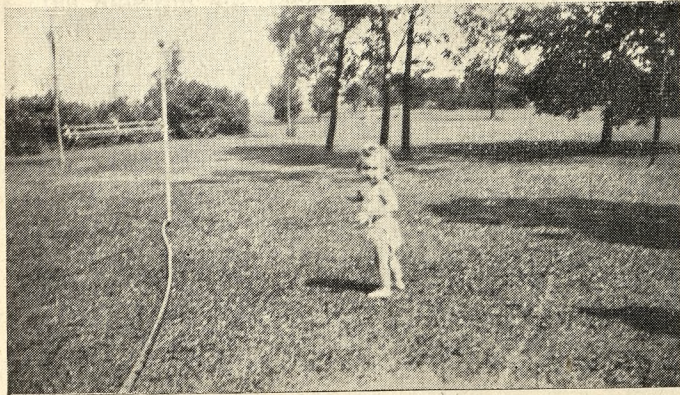
Znajdujemy też w olbrzymich parkach amerykańskich rozmaite atrakcje. Park Lincoln np., szczególnie ulubiony w Chicago, jako miejsce wszelkich „party“, posiada bardzo obfity i ładny zwierzyniec. „Garfiets Park“ szczyci się jedną z piękniejszych na



Wiewiórka na koszu od papierów pilnuje porządku w parku.

świecie oranżeryj. Ozdobą naturalną wszystkich parków — obserwowałam to również w N. Yorku i w Buffalo — są żyjące w stanie dzikim, ale bardzo łaskawe na ludzi, wiewiórki. Prawdziwe to gosposie amerykańskich ogrodów publicznych: zwinne, ruchliwe, wszędzie się wkręca, przebiegają aleje, gazdują w zagrodach słoni i nosorożców, figlują po ławkach i napierają się przysmaków. Wszyscy też przepadają za nimi i nieraz widać statecznego pana, któremu szare, puszyste stworzonko wyciąga z kieszeni kamizelki kawałek ciastka, czy orzeszek.

Wogóle amerykanie lubią zwierzęta. Noszą się z papugami, małpkami, wodzą psy na smyczach i godzinami wystają przy klatkach niedźwiadków i słoni. Nie zapomnę nigdy takiej sceny: szeroka jezdnia, przecinająca park Lincoln niedaleko brzegu jeziora... Policjant stoi z rozkrzyżowanymi ramionami, wzbraniając ruchu nadbiegającym szeregom samochodów... Po obu stronach drogi tłum ludzi... Środkiem błyszczącej



Bobuś używa prysznicy pod rozpryskiwaczem ogrodowym.



Piknik rodzinny na trawniku w parku w Chicago.

jezdni, kołysząc się statecznie na krótkich nóżkach i nie śpiesząc bynajmniej, dzika kaczka, jakich mnóstwo roi się tu na wodzie, przeprowadza swoje potomstwo na drugą stronę ogrodu...

Kiedy mowa o pisklętach, to wróćmy jeszcze do dzieci. W parku Lincolna znajduje się pewna bardzo ciekawa i pożyteczna instytucja. Jest to dom, położony nad brzegiem jeziora, otoczony werandami, gdzie matki-robotnice, idąc do pracy, zostawiają swe dzieci pod opieką fachowych pielęgniarek. Dom ten założyło i utrzymuje wydawnictwo jednego z największych dzienników chicagowskich — „Daily News”. Mają tam maleństwa pożywienie, opiekę, zabawę i doskonałe powietrze, którego używają racjonalnie, werandując, na-

świetlając się na słońcu i kąpiąc według zalecenia lekarza. Zimą przebywają tam dzieci w wieku niemowlęcym i przedszkolnym — do lat 6-ciu; latem — i starsze, gdy niema szkoły. Oczywiście, nie za to ich rodzice nie płacą, bo to jest instytucja dobroczynna. Ale wygląda to wszystko tak zamożnie, tak wesoło i beztrudnie, że... chciałoby się mieć coś podobnego i we własnej, oddalonej Ojczyźnie...

Dobrze jest zatem w parku amerykańskim i dorosłym, i dzieciom, i zwierzętom, i roślinom. I dobrze miastom, że mają takie oazy zdrowia, swobody, wypoczynku. Park amerykański — to przykład najwymowniejszy właściwie pojętej demokracji: wszystkim dostępny, każdemu potrzebny, naprawdę pożyteczny.



DWA GŁOSY DELEGATEK KONGRESU PEN CLUBU

Założycielka Pen Clubu, p. Dawson Scott, o której pisaliśmy w Nr. 27 „Bluszczu” i delegatka szkocka, p. Louise Stewart przysłały, napisane specjalnie dla „Bluszczu”, wrażenia swoje z pobytu w Polsce.

ZAŁOŻYCIELKA PEN CLUBU O POLSCE.

Wkrótce po wielkiej wojnie spędziłam dwa tygodnie w Polsce, dwa tygodnie, pełne niepokojących myśli. Były to czasy, gdy Miss Vulliamy organizowała obóz dla uchodźców z Rosji, gdy Amerykanie i kwakrzy prowadzili akcję sanitarną i dożywianie mieszkańców w zniszczonych okolicach. Na ulicach spotykało się polskie kobiety-legjonistki, ciężko obciążone, nie zwykłymi, kobiecymi, radosnymi ciężarami, lecz ryszunkiem wojennym. Żydzi oblegali tłumnie urząd paszportowy, oczekując pozwolenia na wyjazd; ale najstraszniejszy widok przedstawiały dzieci. Biedne małe dzieci, przyszłość i nadzieja kraju, czołgały się na krzywych, powykręcanych nóżkach.

Pomimo biedy, chorób i trudów, Polacy byli weseli i mieli powody po temu, odzyskali właśnie niepodległą ojczyznę.

Mogli rządzić się, jak chcieli, mieli możność do pokazania, co zrobić mogą, okazję do wypróbowania siebie samych.

Po długim czasie przybyłam znów do Polski — do Polski, w której zaszły zdumiewające zmiany.

Wylądowałam w Gdyni, w nowo budującym się mieście z nowobudującym się portem.

Tam, gdzie dawniej były tylko bagna i piaski, wyrosły szeregi budowli: eleganckie hotele, sklepy, bulwary, a każdy zakątek jest nie tylko nowy, ale czysty, niezmiernie czysty. Sądzę, że powinienby jeszcze być wybudowany dworzec pasażerski w pobliżu przystani, teraz wierzę jednak, że wkrótce go wybudują¹⁾. Każda rzecz potrzebna wyrośnie tam napewno, duch ludzki, tak niezwykle czynny w tem miejscu, powoła ją do życia.

Otwarto już polską linię okrętową, między Gdynią a Londynem, linię, na której czystość, obsługa i zaopatrzenie tworzą poważną konkurencję innym statkom.

Przybyłam do Polski na Kongres, w usposobieniu lekkiego niepokoju, znałam dotychczas Polaków, jako naród bardzo miły, czarujący, inteligentny, nie miałam jednak pojęcia, jakie są ich zdolności organizatorskie. Niepotrzebnie się lękałam. Wszystko szło kolejno, w porządku, bez żadnych przeszkód i zahaczeń. Polska weszła w przymierze nawet z pogodą, która była jedną z najpiękniejszych, z wyjątkiem jedynej burzy, a i ona dodała tylko naszej wyprawie uroku przygody.

Z każdym dniem rósł mój zachwyt nad tym starym, a odmłodzonym narodem, który zdobywszy tak niedawno niezależność, szedł w górę, jak rtec w barometrze, aż wreszcie zaczęłam zapytywać sama siebie, jakim sposobem mogli Polacy w tak krótkim czasie rozwinąć wartości, o których posiadanie nikt ich nie mógł posadzać.

Myślałam o tem długo i doszłam wkońcu do takiego rezultatu: oto naród uzyskał wolność rozwoju i zaczął żyć. Nietylko zaczął, ale dowiódł sam sobie, że żyć potrafi. Przy organizacji Kongresu Pen Clubu okazało się, jak wielki krok naprzód uczynili Polacy. Rząd, prasa, naród, mają w Polsce jedną wolę. Wszyscy są zdecydowani wyzyskać jaknajlepiej dar wolności. Przytem odrodzona, jak Feniks z popiołów, Polska, prowadząc w dalszym ciągu politykę liberalizmu w stosunku do Żydów, korzysta wzamian z najlepszych właściwości ich rasy. Atmosferą zaś, w której rozkwitać mogą wartości wszelkich ras, jest wolność.

Jej zawdzięcza Polska blask, siłę i rozrost swego ducha. Oto, co przynosi narodowi swoboda.

C. Dawson-Scott.

¹⁾ Projekt tego dworca jest już opracowywany. Przyp. Red.



P. Louise Stewart.

P. Ludwika Stewart jest znaną autorką opowieści i legend szkockich, poetką i publicystką, współpracowniczką pism literackich i kobiecych. W czasie wojny wyszedł zbiór jej poezji, później ukazały się powieści i legendy z życia górali szkockich. Przez cały okres wojny pani Stewart prowadziła pracę oświatową w armji, wygłaszając liczne odczyty, wysyłając na front książki i pisma.

W POLSCE CZUŁAM SIĘ JAK W DOMU.

Zebrawszy całą odwagę, zdecydowałam się narażać burzliwemu Bałtykowi i przybyć na Ósmy Kongres Pen Clubu do Warszawy. Lady Małgorzata Sackville, nasza przewodnicząca, nie mogła pojechać, byłam więc jedyną kobietą w delegacji szkockiej, której przewodniczył p. William Power.

Daleka droga dzieli mój kraj rodzinny od Polski, a jednak, przybywszy do niej, nie czułam, aby polacy byli mi obcymi, przeciwnie, my szkoci mamy z nimi wiele wspólnego. I nie tylko dlatego, że dynastje Sobieskich i Stuartów połączyły się węzłami pokrewieństwa (wnuczka wielkiego bohatera, króla Jana Sobieskiego wyszła za Jakóba Stuarta), ale przez to, że istnieją zasadnicze właściwości, wspólne obu narodom. Miłość ojczyzny jest w Polsce, tak, jak u nas, przewodniem uczuciem narodu i tak, jak szkoci, polacy podtrzymywali swój patryjotyzm pieśnią i poezją.

Uroczyste miasto.

Będąc jeszcze dzieckiem, wyobrażałam sobie zawsze Polskę, jako dziedzinę najczystszej romantyzmu, a gdy nakoniec urzeczywistniła się moja nadzieja zwiedzenia tego kraju, znalazłam rzeczywistość o ileż bardziej czarującą od tej, którą wymarzyła wyobraźnia. Kraków jest cudownym miastem, ze starym zamkiem królewskim, górującym nad oryginalnymi uliczkami i placami; z barbakanem, przenoszącym nas w krainę tysiąca i jednej nocy; z przedziwnymi, w okolicy, kopalniami soli, w których błyszczą podziemne, kręte korytarze i kaplice; z wijącą się w dal wstęgą Wisły i ze wspaniałymi, wieżycowymi szczytami Tatr, lśniących w głębokiej, błękitnej oddali.

A przedziwny, srebrzysty dźwięk trąbki, rozlegający się co godzinę, niespodzianie przzerwany na przedostatnim tonie, przzerwany na pamiątkę trębacza, który padł od strzały tatarskiej, nie zdążywszy dograć hejnału, wszystko to działa tak, że Kraków wydaje nam się zjawiskiem nieskończenie dalekim od pospolitego, materialnego świata.

Warszawianki.

Warszawa, główny ośrodek działalności Pen Clubu, piękne miasto, nie ma już tak silnego piętna odrębności narodowej. Strój ludowy spotyka się tu rzadko, panie z towarzystwa mogłyby śmiało uchodzić za Angielki. Na herbatce popołudniowej w jednej ze starych rezydencji podmiejskich, wśród szeregu wytwornych pań, z którymi gawędziłam, były dwie księżne, trzy hrabiny i jedna baronowa. Wszystkie miały te same mile, znamionujące doskonale wychowanie maniery — tak samo, jak u starych, wielkich rodów Szkocji.

Wiele z tych kobiet przeszło straszne czasy, nie tylko podczas wielkiej wojny, ale i w czasie późniejszej inwazji bolszewickiej, która zniszczyła wielki szmat Polski. Jedna z pań przeżyła długie lata w bolszewickim więzieniu, ale wszystkie te okropne przeżycia nie naruszyły tradycyjnej, naturalnej subtelności i prostoty, będących wewnętrzną właściwością Polaków.

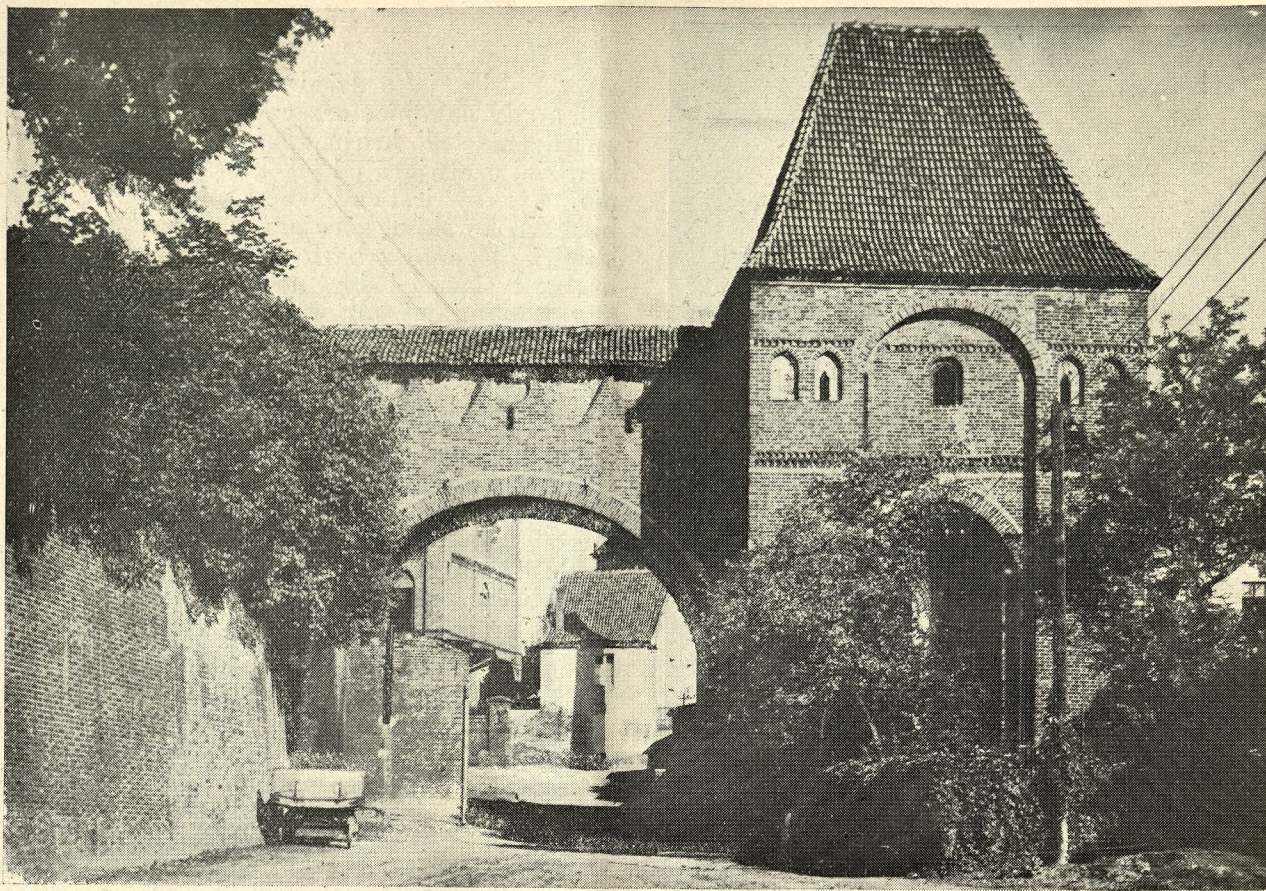
Ich serdeczność w stosunku do gości, uprzejmość powitania, hojność i wspaniałość przyjęć porównana być może tylko z naszą, szkocką gościnnością.

Przechodząc do bardziej przyziemnych tematów: kuchnia polska jest doskonała. Zupy miejscowe, jak barszcz i potrawy, jak bigos, godne są podniebienia największych smakoszy. Chłodzące napoje mrożone, z pływającym w nich słodkimi poziomkami i wiśniami spotyka się często w menu. Ci zaś, którzy pragną bardziej podniecających trunków, znajdą słodką wódkę i lekką, wyborną śliwowicę.

Bajecznie kolorowi wieśniacy.

Strój ludowy, szczególnie zaś góralski, noszony w Tatrach, na pograniczu czeskosłowackim, jest niezmiernie malowniczy. Stroje, zarówno męskie, jak i kobiece, grają poprostu kolorami. Górale z tych okolic są znakomitymi tancerzami. W tańcach zaś narodowych polskich, przejawia się nie tylko zapał i zręczność, lecz pewna duma i godność. Wieśniacy polscy, podobnie jak wyższe klasy ludności, posiadają wrodzony wdzięk w obęjsiu, zachowują się swobodnie, z prostotą i grzecznością bez uniżoności. Uczciwość panuje wśród nich powszechnie.

Polecam gorąco odwiedzenie Polski, jako ciekawą, zdrową i radosną wycieczkę. Louise Stewart.



Fragment zamku krzyżackiego w Toruniu.

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

ŚLADAMI FIDAC'U

Czwarta godzina rano jest najobrzydliwszą godziną do wyjazdu. Bo to i noc jeszcze się nie skończyła i dzień się jeszcze nie zaczął. A „przedświt” pięknie wygląda tylko w poezji. W rzeczywistości i w mieście to poprostu taki bury brzask, w którym wszystko wygląda brudno i niezdecydowanie. Moment przełomowy. I niebo i ziemia jeszcze nie zdążyły otrząsnąć z powiek snu. A człowiek... Lepiej nie mówmy o samopoczuciu człowieka, którego już na dwadzieścia cztery godziny przed terminem odjazdu obudzono przez nadmierną gorliwość. Biedaczysko szofer pomylił piątek z sobotą i o dzień naprzód urządził sobie i bliźnim próbny alarm. Rezultat dla mnie: dwie niedospane noce, jako przygotowanie do drogi. A droga to niebylejaka. Na południe mamy być w Toruniu, aby uprzedzić tam przybycie przedstawicieli Fidac'u, zwiedzających Polskę, a potem towarzyszyć im w dalszej wędrówce przez Pomorze aż po Gdynię. Należy się zatem spieszyć. Każda minuta jest droga... w teorii. W praktyce pośpiech wygląda tak, że małą godzinkę czekamy na punkcie zbornym z dwoma „Cytrynkami” na Zetkę, potem jeszcze odbywamy mały postój przed „Argusem” żeby zabrać taśmy filmowe, bo w towarzystwie naszym jedzie i operator, „krętać”, jak się mówi w gwarze zawodowej. Jest szósta, gdy opuszczamy

miasto rodzinne, pełni tęsknoty do... szklanki gorącej herbaty z chrupiącą bułeczką.

Ranek jest parny, więc mając do wyboru karetę i otwarte auto, wybieram bez namysłu to ostatnie, rezerwując sobie na wszelki wypadek prawo zamiany. Z początku jest idealnie. W miarę jednak jak oddalamy się od stolicy, horyzont zachmurza się stopniowo, potem zrywa się wiatr, i zaczyna lać. Podnosimy budę, ale deszcz zacina z boku. Czuję, że mój prawy profil pod haubą samochodową jest całkiem mokry. Wczorajsza ondulacja na nic. A pan Aleksander przysięgał, że to nie uczesanie, ale żelazo-beton. Rozpacz prawdziwa! Jak ja się pokażę na lunchu u szambelana Donimirskich w takiej koafiurze? Z lewej strony, jak dama, z prawej, jak pastuch za bydłem. Można wprowadzić jeszcze ratować sytuację i przesiąść się do karety. Ale to równa się kapitulacji na całej linii — na to nie pozwala mi moja godność automobilowa. Szczęściem karetka sama zatrzymuje się i zaprasza mnie do wnętrza. Wiwat! I ondulacja ocalona i honor w porządku.

Na jakimś rynku w jakimś miasteczku zatrzymujemy się na śniadanie. Herbata, cytrynka, doskonałe pieczywo, masło prosto od krowy. Wiadomo — prowincja. Kilku kolegów dziennikarzy dokonywa

studjów regionalnych przy miejscowym bufecie. Ponieważ naszą karetę prowadzi szofer-gentleman, pilnujemy go, jak dziecka rodzzonego, aby jego cennego organizmu nie skaziła ani jedna kropla alkoholu. Zresztą gorliwość zbyteczna: młodzian jest członkiem Federacji i trzyma się, jak mur.

Po śniadaniu horyzont nieco się rozjaśnia. I w naszych oczach i na niebie. Mkniemy teraz przez piękną i żyzną ziemię kujawską, urozmaiconą jeziorami. We Włocławku króciutki postój na rynku. Wystarcza go jednak, aby pewna kobieta popełniła krok lekkomyślny i przesiadła się z karety do otwartego auta, czego później będzie gorzko żałować. Włocławek cały pachnie cykorią Bohma, ale zaraz za Włocławkiem rozpoczyna się panowanie Wisły. Rzeka dmucha na nas ze swych potężnych płuc lodowatym oddechem. Ostre, kłujący wiatr tnie po twarzy, wciska się pod haubę, przenika aż do kości. Pocieszam się, że do Torunia niedaleko, ale ta pociecha nie rozgrzewa mnie nic a nic. Nie wiem, jak długo trwa ten pęd podbiegunowy, ale czuję się po nim gorzej, niż po „Wyprawie kapitana Scotta”. Najlepszy dowód: po przybyciu do Torunia pierwszą rzeczą, której szukam i znajduję z instynktem tonącego, jest deska ratunku w postaci... toruńskiego piernika... nie! ze wstydem przyznaję — kieliszka wódki. Przydałby się raczej litewski krupnik według przepisu Pani Elżbiety, ale czy tu go kto zrobić potrafi?

Pokrzepiona na ciele i duchu, ale jeszcze dzwoniąca zębami, jak jazzband warszawski, idę patrzeć na defiladę i słuchać przemówień. Przedstawiciele Fidac'u, sami francuzi (anglicy już wcześniej opuścili Polskę) z towarzyszącym im zarządem polskiej Federacji przyjechali coś w pół godziny po nas. Uroczy-

stość poszła gładko, ale dosyć oficjalnie. Tylko delegat podoficerów rezerwy w swym przemówieniu śmielej poruszył napiętą strunę t. zw. „sprawy korytarzowej”.

Po defiladzie pojechaliśmy rzucić okiem na zabytki miasta. Nie wiem, na czyją pamiątkę i z jakiego powodu postawiono na podwórku ratuszowym posąg bosego wędrownego skrzypka. Może to ma być po prostu Janko Muzykant? Nie wiem, bo nie dojrzałam na cokole żadnego napisu. Ale kimkolwiek jest to grające chłopię, wnosi ono czysto polską i polną nutę w te szare mury, oplecione bluszczem. Uśmiecha się do przybysza, jakby chciał powiedzieć:

— Posłuchaj mnie! przecież znasz tę melodię.

Przedziwny kontrast z otoczeniem twardem, ponurem, niemal groźnem. Bo i sala posiedzeń rady miejskiej wygląda, jak jakiś nowoczesny Wehmgericht.

A Kopernik? Stanowczo nasz wielki astronom nie ma szczęścia do pomników. W Warszawie żałują mu trawnika, tutaj postawiono go na studni. Kto wie, czy ten pomysł nie ma głębszego znaczenia symbolicznego: rzesze przychodzą ciągle do niego po żywą wodę prawdy.

Ale nie czas na rozmyślanie, gdy niecierpliwie warczą motory. I oto mkniemy znów szosą gładką, jak stół i ślicznie drzewami wysadzaną, do Łysonic, gdzie czeka nas lunch w gościnnym dworze państwa Donimirskich. Co za rozkosz po dziesięciogodzinnem uganianiu się po drogach zasiąść do pięknie zastawionego stołu w zacisznej jadalni, pod wizerunkami przodków, bacznie, lecz życzliwie spoglądających na nieznanym gości. Nie godzi się zapomnieć i o tych arcydzielnach sztuki kulinarnej, które świadczą dodatnio o na-



Fara i klasztor w Grudziądzu.

szej kulturze i od strony podniebienia. Było tam pewne vol-au-vent z sosem rakowym, godne królewskiego stołu. A melba! A stary węgrzyn, którego jeden kieliszek odmładza człowieka o sto lat, czyniąc go szczerym romantykiem...

Posadzono mnie między panem Henry Rossignol, prezesem Narodowego Związku Kombatantów we Francji, a mówiąc nawiasem, jednego z najczarowniejszych prezesów, jakich znam, a drugim francuzem, również przedstawicielem Fida'u, wspaniałym causeur'em, który naprzemian zachwycił się to Polską, to swoją rodzinną dzielnicą — Poitou.

Przy wspólnym stole biesiadnym rozgrzewają się serca, rozwiązują się języki, zwłaszcza gdy to są serca towarzyszyw broni, którzy choć na odmiennych frontach, walczyli jednak wspólnie o wolność dla swych narodów, o sprawiedliwość i pokój dla świata całego. Na toast powitalny pana domu, odpowiada Henry Rossignol. Z zapalem, właściwym rasowemu entuzjastce, z wrodzonym darem słowa, z niepospolitą, jak na cudzoziemca, intuicyjną niemal znajomością naszych obyczajów, tradycji, uczuć, mówi o tym duchu polskości, który tu, na Pomorzu przechował się nieskazony przez długie wieki. I jak rycerz prawdziwy, składa hołd kobiecie polskiej, która w atmosferze domowej tego ducha podtrzymywała.

Wkraczamy w dziedzinę tych wzruszeń serdecznych, które najłatwiej zadzierzgają nici wzajemnego porozumienia. Ale środowisko prywatne nadaje tym wynurzeniom charakter raczej intymny. Zobaczymy, co będzie dalej. Tymczasem jeszcze filiżanka wonnej kawy w salonie, jeszcze zbiorowe zdjęcie na tarasie, jeszcze położenie swych podpisów w księdze pamiątkowej gościnnego dworu i — cwałem do Chełmna. Temno wyżej stu, bo tam przecież czekają na nas z defiladą.



Brama Czuchowska w Chojnicach.



Ratusz w Chełmnie.

Rynek w Chełmnie! Nie zapomnę nigdy tego kwadratu starych kamienic z prześlicznym barokowym ratuszem w głębi. Wszystkie okna otwarte pełne głów, na wszystkich domach powiewają sztandary, czterdzieści pięć pocztów chorągwianych, ustawionych w imponujący czworobok, wstrzymuje na swych barkach zwarty tłum. To ziemia chełmińska, niegdyś nieopatrnie w lenno oddana Krzyżakom, przyszła złożyć hołd tym, co krzyżacką pychę zdeptali. Wszyscy, od paroletnich dzieci począwszy, kończąc na starcach zgrzybiałych, dobrze pamiętających pruskie rządy.

Przemawia p. Granier, sekretarz generalny francuskiego Fida'u, szef gabinetu ministra wojny we Francji. Każde jego zdanie jest natychmiast tłómaczone na polski przez p. Smogorzewskiego i chwywane w lot przez zasłuchane rzesze. Po szarym tłumie ludu pracującego, zahartowanego w długich zapasach o prawo do życia, od czasu do czasu przechodzi wicher wzruszenia. A z ust mówcy francuskiego padają pamiętne słowa.

— Gdyby ktokolwiek chciał naruszyć granice tej rdzennie polskiej ziemi, staniemy obok was, aby jej bronić!

To, co się działo później, poprostu nie da się opisać. Burza oklasków rozpętała się nad miastem. Tłum szalał. Pocztę chorągwianych lasem sztandarów otoczyły mówców, jakby gotowością swą do czynu chciały dać świadectwo prawdzie. Ktoś zaintonował „Rotę”. O prastare mury miasta, które było niegdyś kolebką „krzyżackiego gada”, odbiły się echem potężne słowa pieśni:

„Nie damy ziemi, skąd nasz ród”.

Śpiewaliśmy tak głośno, żeby pan Trewiranus w Berlinie mógł nas usłyszeć...

Nocą już przeprawialiśmy się promem na drugi brzeg Wisły. Przyznaję się, że miałam trochę tremy

przed tą przeprawą, zbyt dobrze mi bowiem utkwiły w pamięci nasze promy kresowe, zbite bylejak z dyli, zanurzające się pod wodę, ilekroć koń parsknął. Tutaj inaczej. Sześć samochodów wjeżdża na pomost, równo i cicho sunący po topieli. Ani się spostrzeżesz, jak jesteś na drugim brzegu i pędzisz długą kolumnadą strzelistych drzew, które z każdej szosy czynią tu w nocy tajemniczą nawę kościelną.

Nasze trzy auta, niczem świetlne żuki, mknęły puszcza tucholską do Chojnic, gdzie już dobrze ku północy przybyliśmy nareszcie na nocleg. Ale że to była sobota i w miejscowym hotelu odbywał się dancing, więc co wytrzymalsi z kolegów zeszli jeszcze popatrzeć na miejscowe piękności. Ale ja wołałam spać pod białą pierzyną z puchu słynnych gąsek pomorskich. Naprawdę słodki to był sen i zasnęła pierzyna.

Nazajutrz obudzono nas o 6-ej. Ranek czysty, jak łąka. Pogoda. Szosa, jak biały ręcznik, wyszywany po brzegach czerwonym szlakiem jarzębin, wiję się po pagórkach zielonych.

Jesteśmy w pomorskiej Szwajcarii. Coraz to rozchylają się wzgórza lesiste, aby ukazać w perłowej muszli doliny opalizującą toń jeziora. Lasy mieszane, ślicznie podszyte, pełne grzybów, widocznych nawet w pędzie auta. Powietrze balsamiczne, ludzkie osiedla rzadkie, ale czyste, estetyczne, jakby wyświeżone od święta. Miasteczko o kilku tysiącach mieszkańców ma sklepy niegorsze od warszawskich.

W samo południe wjeżdżamy do Gdyni. Znów defilada i uroczysta akademja. Słowa francuskich gości nabrały krwi. Bo jeżeli wczoraj w Chełmnie przemówiła do nich raczej przeszłość, to tu każdym nowym budynkiem, każdym całem portu wołała idąca w przyszłość wola narodu. Dawni towarzysze broni w walce o wolność poczuli się towarzyszami naszymi w rosnącej potęgę. Słowo „camarade“ nabrało metalu.

— A ktokolwiekby chciał wydrzeć wam tę ziemię, będzie musiał iść po nią nietylko po waszych, ale i po naszych trupach!

To już nie deklaracja, to zobowiązanie.

Tem mocnem rycerskiem słowem pożegnał ziemię polską przedstawiciel Związku wojowników, złączonych braterstwem broni i idei w potęgę, z którą muszą się dziś liczyć największe mocarstwa świata.

Z WYSTAW

Tkaniny nowogrodzkie w Salonie Garlińskiego.

Jeszcze jesienne wyraje artystyczne nie zapełniły lokalów wystawowych nawałą obrazów, rzeźb, drzeworytów, a już zawiły do Warszawy pierwsze ptaki przelotne z dalekich kresów wschodnich: tkaniny nowogrodzkie. Tym razem rozpostarły swoje subtelne deseniem centkowane, jakby w wichrach dalekich podróży przybladłe skrzydła w Salonie Garlińskiego. Na ich dyskretnie przyćmionem tle grają żywymi kolorami akwarele Fałata, studja pejzażowe Mira, Nowogrodka, ruin zamkowych i łowów nieświeskich. Stara porcelana drzemie spokojnie pod strażą lnianych pasiaków, pstrą polewą lśnią majoliki, kolorystycznie zbratane z szaraczkową rzeszą kilimów i makatek.

Jest tam jedna makatka - cudo, zdumiewający okaz samorodnej fantazji, zdolnej przełamać kanony tradycyjnej techniki w imię indywidualnej koncepcji. Na perłowym tle zrzadka

rzucane ciemno-purpurowe kwiaty — po brzegach motyw stylizowanego drzewka. Całość, pełna niesłychanej prostoty i wdzięku, jest unikatem i kto wie, czy będzie mogła być skopjowana. Twórczyni jej umarła i tajemnicę swej techniki zabrała do grobu.

Napróżno p. Beczkowiczowa, wojewodzina nowogrodzka, niestrudzona opiekunka i propagatorka przemysłu ludowego na Kresach, pokazywała tę makatkę najzdolniejszym tkaczkom. Przyglądały się, dziwiły, badały supełki na odwrotnej stronie i kręciły głowami. Żadna nie czuła się na siłach wykonania niezwykłego wzoru.

Makatka zaczęła być sławną. Najprzód w okolicy, potem i na szerokim świecie. Urodzona w białoruskiej chacie z zimowego chłopskiego snu o „car-zielu“, wytkana na krosnach domowej roboty, przy mętnem okienku, które tyle tylko przepuszczało światła, żeby spracowane ręce nie poplatały kolorów — przeżyła długie lata w mrocznej izbie, przetrwała wielką wojnę, pochody i odwroty różnojęzycznych wojsk i narodów, aby po cichej wegetacji w zapadłym kącie zawędrować na wystawę do... Brukseli i tam oczarować liczne rzesze cudzoziemców swoją wykwintną, niepospolitą urodą.

Tak bezimienny Kopciuszek z zaścianka wyrasta niekiedy na wszechświatową piękność... S. P. O.

Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY.

„Dzieje Józefa“ komedia w 4 aktach Włodzimierza Perzyńskiego.

Zbliża się okres jesiennego trzepania dywanów i zimowej garderoby. W poczuciu aktualności tego momentu, dyrekcja Teatru Narodowego co raz to wietrzy jakąś sztukę z teatralnego lamusa, mocno już przez mole nadgryzioną. Zaczęło się od francuskich zapasów („Interes przedewszystkiem“), teraz przeszliśmy do polskich.

I cóż się okazało? Że grzechy młodości dotkliwie mszczą się nawet na tak dobrych komedjopisarzach, jak Perzyński. Prostu wyrósł on z tej sztuki, jak ze zbyt kusego fraczka. Jeżeli posiada szczyptę samokrytycyzmu, co nie każdemu, nawet dobremu literatowi, jest właściwe, powinien był czuć się bardzo niewyraźnie na ostatniej swojej premierze. Każdemu przecież zdarzy się coś „sknocić“, ale pocóż to mu przypominać po tylu latach, i to ze sceny Teatru Narodowego?

„Dzieje Józefa“ są jeszcze jednym dowodem, że sztuka, której cała pointa oparta jest na anegdocie, związanej z popularnymi niegdyś na bruku stołecznym postaciami, traci całkowicie rezonans i rację istnienia z chwilą, gdy te postacie przechodzą do przeszłości. Prostu staje się muzyką na głuchej klawiaturze.

Na ostatniej premierze byliśmy właśnie świadkami takiego koncertu, zresztą zagranego bez przekonania przez zespół o nierównej skali artystycznego napięcia. Z licznych figur, z których większość niewiedomo poco pęta się po scenie, tylko Justjan i Bronisłówna dali wyraziste, opracowane do najdrobniejszych szczegółów sylwetki. To nic, że trochę przerysowane. W komedji, która jest parafrazą i parodią biblijnych dziejów Józefa i Putyfarowej, nie zawadzi dobra porcja groteski, a nawet szarży. Tą umiejętnie stosowaną groteską dwoje prawdziwych artystów ratowało sytuację, budząc na widowni zainteresowanie, nie dla sztuki, ale dla własnej gry. Reszta wykonawców odrobiła swoje zadania sumiennie, ale z rozpaczliwym szablonem. Suma wrażenia ujemna. Czekamy na nową, żywą sztukę Perzyńskiego. Dosyć tej ekshumacji zwłok. S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

NOWE INICJATYWY PANI BAILLY.

Polska na Wystawie Kolonjalnej w Paryżu.

Od naszej Kochanej Różyczki otrzymaliśmy poniższą wiadomość dla „Bluszcza”.

„Wspaniała, Międzynarodowa Wystawa Kolonjalna, która będzie się mieściła przy lasku Vincennes, tuż pod Paryżem, będzie również zawierała sekcję polską.

Czy to nie wydaje się paradoksalne? Polska przecież nie posiada kolonii?

W XIX wieku, gdy wielkie kraje europejskie dzieliły między siebie Afrykę i Azję, Polska, kierując wszystkie swe wysiłki ku osiągnięciu swej niezależności państwowej. Nie mogła się więc ubiegać o kolonie zamorskie, które tak wielkie mają dziś znaczenie dla nowoczesnych państw.

Emigranci polscy wyjeżdżają do obcych krajów, do Stanów Zjednoczonych, do Chili, do Brazylii. Wszelkie artykuły kolonjalne niezbędne dla jej potrzeb gospodarczych, dostarczane są Polsce za pośrednictwem Niemiec.

Polacy, chcąc zapobiec temu brakowi ich życia gospodarczego, postanowili współpracować z Francją, najlepszą ich sojuszniczką, posiadającą bodajże najpiękniejsze i najbogatsze kolonie. Myśl ta kielkowała również wśród francuzów, uważających współpracę z wychodźstwem i z kapitałami polskimi za bardzo pożyteczną dla rozwoju kolonii francuskich.

Już kilka lat temu Stowarzyszenie „Przyjaciół Polski” rzuciło myśl tę środowiskom polskim i francuskim. jako materiał dyskusyjny. Dla urzeczywistnienia zaś tej idei, „Przyjaciele Polski” dążyli do tego, aby Polska miała swoją własną sekcję na Wystawie Kolonjalnej. Polska nie ma kolonii, ma jednak kolonizatorów. Gdyby polacy, z ich bohaterskim temperamentem, nie musieli lata długie walczyć o swoją wolność, napewno zdobyliby jedno z pierwszorzędných miejsc dla swej Ojczyzny. Wielu z nich dało tego dowody.

Pierwszym i najslawniejszym był Maurycy Augustyn Beniowski. On też będzie miał swoje miejsce w pawilonie Madagaskaru. Jedno z miejsc będzie również zarezerwowane w Palais de l'Algérie et du Maroc dla żołnierzy i oficerów polaków, walczących w Armji francuskiej, lub w Legji Cudzoziemskiej i tych, którzy brali udział w zdobyciu, zjednoczeniu, lub rozwoju Afryki północnej.

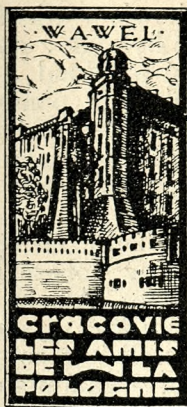
Podjąwszy tę inicjatywę, wszedłem w stały kontakt z Komisarjatem i Zarządem Wystawy, i z wielkim zadowoleniem stwierdziłam, że myśl moja została przyjęta bardzo przychylnie. Teraz pozostaje mi tylko zwrócić się do środowisk polskich z prośbą o nadsyłanie wszelkich materiałów i informacji, dotyczących polaków w kolonjach francuskich.

Dr. Baret, wybitny współpracownik Stowarzyszenia „Les Amis de la Pologne”, autor znanego dzieła pod tytułem „Nasza Sojuszniczka Polska”, zamierza objechać, wraz ze swoją żoną, wszystkie wielkie miasta w Polsce, i wygłaszać odczyty o kolonjach francuskich, które tak dobrze zna, będąc sam jednym z tych bohaterów, którzy zdobyli dla Francji kolonie Afryki Środkowej.

Mam nadzieję, że publiczność polska gremjalnie uczęszczać będzie na te odczyty i masowo zwiedzać będzie przyszłoroczną Wystawę Kolonjalną w Paryżu.

Wierzę również, że za parę lat Gdynia, to arcydzieło polskiej energii, stanie się jednym z największych portów kolonjalnych, które Polska obowiązkowo musi posiadać”.

Róża Bailly.



Nalepka Przyjaciół Polski.

POPULARYZACJA POLSKI.

Stowarzyszenie Przyjaciół Polski wydało świeżo serję winiet-nalepek, przedstawiających najwybitniejsze gmachy i pomniki w Polsce, oraz wizerunki sławnych polaków. Twórcą nalepek jest utalentowany artysta p. Janusz Tłomakowski.

PIERWSZA PRÓBA OFICJALNA.

W bieżącym roku szkolnym, Oddział oświaty pozaszkolnej w kuratorjum lubelskiem przewiduje w swoim programie pracy, urządzenie, tytułem próby, dziesięciodniowego kursu przysposobienia społecznego dla nauczycielek szkół powszechnych. Kurs będzie nosił charakter przysposobienia do prac oświatowych wśród kobiet. Jeżeli wytrzyma próbę życia, przewidywany jest dłuższy kurs wakacyjny, o charakterze praktyczno-teoretycznym. Zaznaczyć należy, że posunięcie programowe oddziału o. p. kuratorjum lubelskiego jest pierwszą tego rodzaju pracą w Polsce, podejmowaną przez czynniki oficjalne.

Dotychczas pracę oświatową wśród kobiet prowadziły tylko organizacje kobiece. Z radością witamy poczynania lubelskich oficjalnych oświatowców. Skromny i mało widoczny punkt w programie ich działalności, 10 dniowy kurs oświaty społecznej dla kobiet, najdobitniej świadczy, że kwestja oświaty pozaszkolnej wśród kobiet dojrzuje, że postulaty nasze w sprawie jej realizowania są słuszne, że w ciężkiej robocie przysposobienia do niej pracowniczek pomoże nam, społeczeństwo, Państwo i samorząd w zrozumieniu wielkiego i ważnego ogólnego interesu.

ŻEŃSKIE KURSY GOSPODARCZE.

W pierwszych dniach października r. b. zostaną uruchomione w Rawie Mazowieckiej żeńskie kursy gospodarcze, organizowane przez sejmik rawski, przy pomocy wydziału oświaty rolniczej Min. Rolnictwa. Nauka na kursach będzie trwała trzy miesiące i komplet uczennic będzie się zmieniał co kwartał. Koszty utrzymania i mieszkania w internacie wyniosą 35 zł. miesięcznie, nauka będzie udzielana bezpłatnie.

Szczegółowych informacji udziela referat rolny sejmiku w Rawie Mazowieckiej.

KOBIETA ASTRONOMKA.

Żona zmarłego przed paru laty sławnego astronoma, Kamila Flammarion'a, jest sama wybitną astronomką. Po śmierci męża, pani Flammarion jest kierowniczką obserwatorium w Juvisy. Obecnie p. Flammarion przedstawiona została do odznaczenia Legją Honorową.

WRÓCIŁA

Wśród entuzjastycznych owacyj przybyła do Londynu Amy Johnson, wracająca ze swego historycznego lotu do Australji. Jako materialny wynik swego czynu, otrzymała „Johnnie” między innymi okazałą sumkę dziesięciu tysięcy funtów szterlingów, nagrodę „Times'a”.

KRÓLOWA PIĘKNOŚCI LOTNICZKĄ.

Tegoroczna królowa piękności Madrytu, senora Conchita Peché, jest pomimo swego b. młodego wieku (17 lat) lotniczką. Rycina nasza przedstawia pannę Peché na tle jej samolotu.



P. Conchita Peche.

DOTRZYMUJĄ PLACU.

Zwycięcą w międzynarodowym raidzie awjonetek został ogłoszony lotnik niemiecki Morzik; na jedno z pierwszych miejsc po nim wysunęła się lotniczka angielska, Miss Spooner, której fotografię umieścił „Bluszcz” w początkach raidu.

Jak wiadomo, cudowny „chłopiec z nieba”, Lindbergh, wybrał sobie za towarzyszkę życia młodą osobę, zamilowaną w tym sporcie, który przyniósł mu nieśmiertelną sławę. Pani Lindbergh nie zadowala się dyplomem pilotki prywatnej, lecz zamierza zostać zawodową lotniczką państwową. Nie przeszkadzają jej w tem nawet obowiązki macierzyńskie! Jest bowiem już następcą „wielkiego Charlie”, prawdziwe dziecko Ameryki. Malutki ten osobnik, liczący ośm tygodni życia, posiada w tak młodym wieku olbrzymią popularność, fotografowany i opisywany na niezliczonych szpaltach wszystkich pism, jest prawdziwym benjaminkiem swego społeczeństwa. Matka jego dzieli jednak swój czas pomiędzy pielęgnację i pieszczoty małego Karolka, a towarzyszenie „dużemu” Karolkowi, swemu sławnemu małżonkowi w jego lotach.

Z KRAJU WSZEŁKICH MOŻLIWOŚCI

Dziwne wieści powtarzają się coraz częściej w pismach kobiecych amerykańskich: oto niewiasty tamtejsze występują przeciw... prohibicji. Zakaz sprzedaży alkoholu nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Pijaństwo jest, jak było, z tą tylko

różnicą, że prohibicja wytworzyła olbrzymi, formalny przemysł szmuglu alkoholowego, na którym handlarze zakazanych napojów zarabiają miliony, amatorzy ich zaś rujnują się o wiele więcej, niż dawniej, gdyż za potajemnie sprzedawane trunki płacą dziesięciokrotnie i nierzadko trują się niemi. Zawiązała się już Liga przeciw prohibicji, do której przystąpiło 200 tysięcy kobiet. Twierdzą one, że będą przeciwdziałały pijaństwu tylko drogą propagandy moralnej, jednocześnie walcząc o zniesienie zakazu sprzedaży alkoholu!

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

W ciągu tygodnia zaszła poważna zmiana w rządzie, gabinet premiera Sławka podał się do dymisji. Sformowanie nowego gabinetu zostało przez pana Prezydenta Rzeczypospolitej powierzone p. Marszałkowi Piłsudskiemu. Sam skład gabinetu pozostaje bez większych zmian, z wyjątkiem nominacji dotychczasowego szefa gabinetu ministra spraw wojskowych, ppułkownika Becka, na stanowisko ministra bez teki. Pozatem dawni ministrowie zatrzymują swoje resorty.

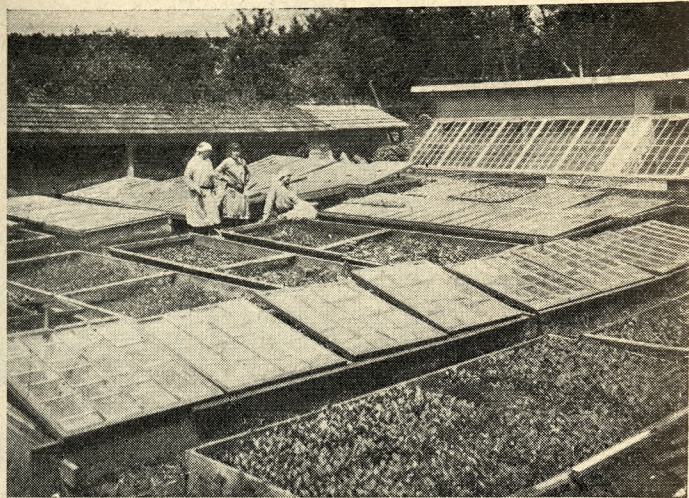
Wśród licznych uroczystości na cześć stulecia niepodległości Belgji, odbył się też w Brukseli międzynarodowy Kongres C. I. E. (Confédération Internationale des Etudiants), zrzeszenia, obejmującego milion studentów wyższych uczelni we wszystkich państwach świata.

Kongresy tej młodzieńczej organizacji są przemiłymi momentami nawiązania wzajemnego kontaktu i przyjaźni. A nawiązują się one łatwo. Gdy przed kilku laty zjazd odbył się w Polsce, obfitował on w chwile takiej serdeczności i zespolenia, dostarczył tylu wrażeń, zadzierzgnął między członkami, takie nici osobistej sympatii, które na długie lata pozostaną w pamięci. W Kongresie tegorocznym wzięła, jak zwykle, udział i delegacja polska. Obrady obejmowały sprawy akademickie, w zakresie zarówno wiedzy, jak organizacji życia studenckiego i podzielone były na różnorodne sekcje. Dużo czasu poświęcono też zwiedzaniu Belgji w licznych wycieczkach, oraz uroczystościom obchodu stulecia, niezwykle wspaniałym.

Sprawy bliższego i dalszego wschodu nie przestają od wielu lat być źródłem ciągłych niepokojów politycznych. Obecnie znów o mało nie doszło do wojny między Persją a Turcją. Pod panowaniem obu tych krajów, a częściowo we władzy utworzonego niedawno państwa, Iraku, żyje trzymilionowy naród kurdów. Jest to szczepek aryjski, wyznający mahometanizm sekty Sunnitów. Do Turcji należą kurdowie wschodni z okolic jeziora Wan, do Persji południowi, do Iraku okręg Mossulski, który jest najważniejszy, bo... znajdują się w nim szyby naftowe. W tym też okręgu rozpoczęło się powstanie zbrojne przeciw Turcji, która nie była dla kurdów zbyt liberalną władzą. Powstańcy przeszli na terytorjum perskie i tam, u podnóża góry Ararat, skoncentrowały się ich główne siły. Oddziały armii tureckiej rozpoczęły walkę z niemi, walkę na terytorjum obcego państwa! Sprawa przedstawia się o tyle poważnie, zahaczając o interesy europejskie, że Persja może zwrócić się o interwencję do Ligi Narodów, do której należy, podczas gdy Turcja nie jest członkiem Ligi. Ta ostatnia więc znalazłaby się w poważnym kłopotcie. Państwo perskie jest zbyt słabe do walki z Turcją: Liga Narodów więc winnaby dać mu opiekę, ale jak? I jaką znaleźć dla tej opieki egzekutywę? Tymczasem już zaofiarowały kurdom swe pośrednictwo sowiety, które dość bezceremonialnie twierdzą, że powstaniu kurdów dopomaga Anglja, za pośrednictwem słynnego z działalności w Afganistanie i w Arabji pułkownika Lawrence'a. Chodzić ma mianowicie o stworzenie niepodległego państewka kurdów pod protektoratem Anglji, dla której ważne byłyby mossulskie kopalnie nafty. Zdaje się jednak, że narazie sprawa zostanie zażegnana, Persja bowiem, ulegając Turcji, pozwoliła jej na walkę z kurdami na swem terytorjum.



Oranżeria.



Inspekta.

SEMINARJUM GOSPODARCZE W JAZŁOWCU

W przepięknej, podgórskiej okolicy, tuż obok historycznego Buczacza, pamiętnego z nieszczęśliwego traktatu z Turkami, na wysokiej górze, u stóp której wije się Jazłowiec (dopływ Strypy), otoczony dużym, starym parkiem, leży klasztor Jazłowiecki.

W obręb zabudowań klasztornych wjeżdża się przez dobrze zachowaną bramę ruin zamku, dawnej siedziby rodów Jazłowieckich i Koniecpolskich. Głęboko w jarze widać miasteczko, bardzo zrujnowane przez wojnę i częściowo tylko odbudowane.

Ciężkie losy koleje przechodziły miasteczko i dawny zamek w ciągu długich stuleci; leżały one na drodze tatarskich szlaków i nieraz ogniem i mieczem były niszczone.

Sam pałac, w którym się mieści zakład naukowy, należał w epoce rozbiorów Polski do rodziny książąt Poniatowskich. Jak niesie podanie, w dużej sali, obecnie kaplicy zakładowej, został podpisany haniebny układ Targowicki.

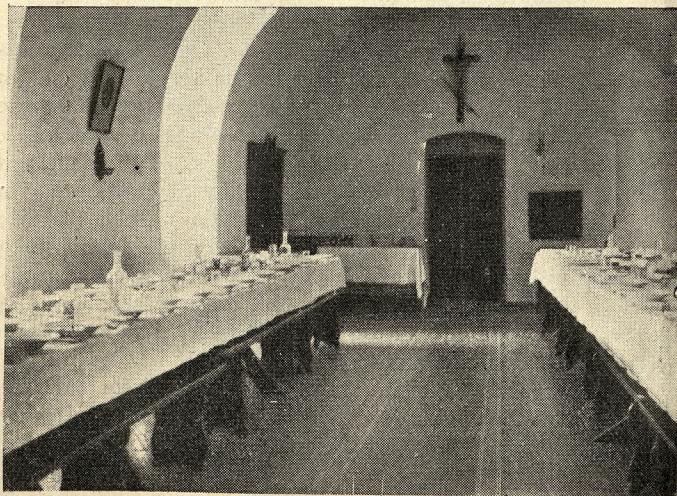
Świetniejsze pamiątki pozostawiła po sobie wojna światowa. Jazłowiec, leżący na trasie, kędy wciąż przechodziły wojska, zmienną losów koleją i w bitwach nieustannych, przechodził z rąk do rąk: Moskale, Austriacy, Ukraińcy, aż wreszcie, w roku 1919, 14 pułk ułanów, świetną szarżą odbił klasztor Ukraińcom. Pułk ten odtąd nosi nazwę pułku Jazłowieckiego i ma na sztandarze, ofiarowanym przez Siostry Niepokalanki Jazłowieckie, Matkę Boską Niepokalanego Poświęcenia, którą przyjął za swoją patronkę. I gdy, co roku, w rocznicę ocalenia klasztoru, odprawia się dziękczynna Msza Święta, u ołtarza stoi delegacja pułku z rozwiniętym sztandarem.

Od czasu, gdy w roku 1863, ówczesny właściciel Jazłowca, baron Błażowski, ofiarował swój pałac Matce Marcelinie Darowskiej na zakład wychowawczy Sióstr Niepokalanek, prowadzą tam te Siostry pensjonat i szkołę. Dobrze znane i zasłużone zakłady, które nie tylko obecnie, lecz i za czasów potrójnej niewoli, wychowywały zastępy dobrych polek i zasłużonych obywateli kraju.

Obecnie jest to gimnazjum typu humanistycznego o programie rządowym, z dużym uwzględnieniem języków obcych (francuski obowiązujący, niemiecki i angielski fakultatywne), muzyki, malarstwa i t. p.

Idąc z duchem czasu, uwzględniając coraz większą potrzebę znajomości gospodarskich dla pań domu, kierowniczek instytucji, coraz większe zapotrzebowanie fachowych sił nauczycielskich gospodarstwa domowego — specjalności, która jeszcze przez długie lata będzie dawała natychmiastowy zarobek absolwentkom seminarjów gospodarczych — Siostry Niepokalanki otworzyły w Jazłowcu przed rokiem takie seminarjum gospodarcze z kursem trzyletnim.

Nie potrzebuję przekonywać nikogo o tym, jaką wyższość ma taki zakład prowadzony na wsi, od zakładów miejskich, gdzie poza kuchnią, praniem i prątnictwem, wszelkie inne przedmioty mogą być wykładane li tylko teoretycznie, lub wogóle nie wchodzić w program nauki.



Refektarz.

Na wsi wychowanki, mając do rozporządzenia ogród i sad, pasiekę i kurniki, gospodarstwo podwórzowe: nierogaciznę i mleczarnię wraz z oborą, mogą stale łączyć teorię z praktyką. Mając duży nakład spożywczy, mogą wyrabiać wszelkie przetwory jarzynowe i owocowe, wędliny, masło, sery na natychmiastowe, duże spożycie, a nie na egzaminowy pokaz tylko. Dużo też znaczy miłe otoczenie, serdeczna opieka Sióstr, odpowiednie towarzystwo i duch Nauki Chrystusowej, rozwijającej pojęcie prawdy i piękna.

Aby wstąpić na kurs I, wystarczy świadectwo ukończenia sześciu klas szkoły średniej, gdyż na kursie pierwszym, oprócz przedmiotów specjalnych, są też wykładane przedmioty ogólnokształcące: religję, literaturę polską i francuską, historję wieku XIX (nawiasem mówiąc najmniej znana), nauka obywatelstwa, ekonomja społeczna, psychologja, logika, rysunek, muzyka, śpiew, na koniec języki: niemiecki i angielski, zresztą nieobowiązuje.

Kurs drugi, daje już głównie przedmioty zawodowe, a więc: teorię ogrodnictwa i pszczelarstwa, towaroznawstwo, rachunkowość domową i kupiecką, ksiązkowość, teorię gospodarstwa podwórzowego i mleczarstwa, teorię organizacji gospodarstwa kobiecego, oprócz tego: pedagogikę i dydaktykę, higienę, bakterjologję, chemję i fizykę.

Osoby ze świadectwem maturalnem są przyjmowane wprost na kurs drugi.

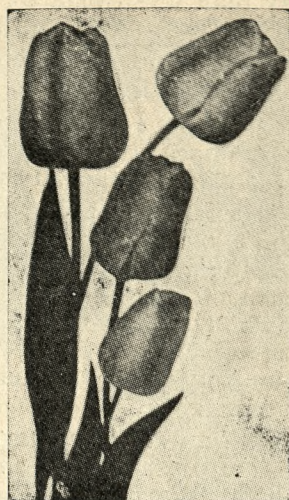
Kurs trzeci, na którym już wychowanki wybierają pewne specjalności, jest cały oddany zajęciom praktycznym. Oprócz przedmiotów, które teoretycznie były wykładane na kursie drugim, mamy tu gotowanie posiłków od najprostszych do najwykwintniejszych. Kuchnię mięsną, jarską i dietetyczną, kalkulacje cen utrzymania, piekarstwo, cukiernictwo, przetwory owocowe, mięsne i jarzynowe, suszenie owoców i jarzyn, kiszenie kapusty i ogórków, masarstwo itp. Istnieje jeszcze specjalny dział mleczarniany z wyrobem masła i serów. Wychów i opas świń, wychów i żywienie drobiu, porządki domowe; pozatem pranie i prasowanie, krój i szycie.

Jestem przekonana, że pierwsze absolwentki seminarjum gospodarczego w Jazłowiec powiększą szeregi tak niezbędnych a tak nielicznych nauczycielek gospodarstwa domowego. tem cenniejszych, że uzbrojonych w gruntowną znajomość gospodarstwa wiejskiego.

Pani Elżbieta.



Zajęcia w kuchni.



Tulipany Darwina.

HODOWLA ROŚLIN CEBULKOWYCH I KŁĄCZOWYCH

III.

LILJE. NARCYZY. TULIPANY. KOSAĆCE.

Lilja jest rośliną cebulkową o wspaniałych, dekoracyjnych, a u wielu odmian, silnie pachnących kwiatach. Hodowla lilij — łatwa, mało skomplikowana, odmiany — liczne, bardzo piękne, z których delikatniejsze zimują w gruncie pod przykryciem.

Lilje lubią grunt przepuszczalny, próchnicowogliniasty; boją się wilgoci, jak wszystkie rośliny cebulkowe, to też, zakładając kwietnik, lub grzędę, którą mamy obsadzać liljami, dobrze jest w razie, gdyby ziemia nie była dostatecznie przepuszczalna, dać w głębi warstwę gruzu, lub żwiru.

Wystawę dla lilij wybieramy lekko zacienioną; w pełnym słońcu kwiaty zbyt szybko przekwitają.

Najodpowiedniejszą porą sadzenia lilij są miesiące: październik i kwiecień.

Ziemie pod lilje użyźniamy przegniłym obornikiem, cebule sadzimy głęboko, dostarczając posadzoną wiosną w okresie rozwoju dostatecznego stopnia wilgoci. Cebul, posadzonych jesienią, nie należy podlewać po posadzeniu, a dopiero w okresie wiosennym.

Rozmnażamy lilje z cebul zarodnikowych, powstających przy cebuli macierzystej, albo też — powietrznych, które tworzą się przy nasadzie liści, lub pomiędzy szypułkami kwiatowemi. Młode cebulki wysadzamy w lipcu, sierpniu i wrześniu (zależnie od odmiany lilji), po okwitnieniu rośliny macierzystej.

Lilje pozostawiamy na miejscu, możliwie najdłużej, gdyż nie lubią przesadzania, jeżeli jednak zajdzie tego potrzeba, przystępujemy do przesadzania z chwilą, gdy łodyga kwietna żółknie, a cebula wchodzi w okres wypoczynkowy. Cebul, wyjętych z ziemi nie należy suszyć, ani przetrzymywać długo pomiędzy chwilą wyjęcia z ziemi, a posadzeniem, odbija się to bowiem ujemnie na kwitnieniu.

Pomiędzy liljami, hodowanymi w naszych ogró-

dach, na pierwszy plan wysuwają się następujące odmiany:

Lilja biała — *Lilium candidum* — najsilniej u nas rozpowszechniona, kwitnie w maju, czerwcu.

Liljo szafranowa — *Lilium croceum*. — Jedna z najtrwalszych odmian, o kwiatach szafranowych, nakrapianych. Hodowla bardzo łatwa.

Lilja złota japońska — *Lilium auratum*. — Odmiana wspaniała, o olbrzymich, wonnych kwiatach białych ze złoto-żółtymi środkami. Płatki nakrapiane purpurowo-brunatnymi plamkami. Odmiana bardzo delikatna, hodowana przeważnie w doniczkach. W gruncie i warunkach sprzyjających oraz bardzo starannej pielęgnacji udają się, wymagają jednak dobrego przykrycia na zimę.

Lilium lancifolium rubrum magnificum — najpiękniejsza z odmian o czerwonym zabarwieniu; bardzo podatna do hodowli gruntowej.

Narcyzy. Ogólnie znana, we wszystkich swoich odmianach roślina cebulkowa, stanowiąca jedną z najpiękniejszych wiosennych ozdób naszych ogrodów.

Narcyzy lubią ziemię dobrą, ogrodową, przepuszczalną, zasiloną krowieńcem. Cebulki sadzimy w końcu września — październiku, na 10 cm. głęboko, w odstępach mniej więcej 10—15 cm. Wszelkie odmiany narcyzów wymagają przykrycia na zimę, które należy jednak usuwać najwcześniej wiosną. Pozostawione 4—5 lat na miejscu, rozrastają się bujnie, kwitną bogato, szczególnie, jeżeli zasilamy je w okresie wzrostu gnojówką, przygotowaną na przegniłym krowieńcu, lub nawozem ptasim, rozcieńczonym wodą. Polewanie powtarzamy co 10 dni.

Narcyzy przesadzać należy co 4—5 lat, przez dzielenie, które odmładza rośliny. Dzielimy narcyzy w okresie: od lipca do października.

Odmiany narcyzów, hodowanych w naszych ogrodach, są następujące:

Narcyzy zwyczajne — *narcissus poeticus* — odmiana najbardziej rozpowszechniona. Kwiaty białe, pojedyncze o silnej woni.

Narcyzy pełne — *narcissus poeticus*, albo pleno odorato, o kwiatach białych pełnych.

Jonkile — *Jonquilla* — kwiaty pojedyncze, lub pełne o złoto-żółtej barwie. Najpiękniejsza odmiana pojedyncza: *Incomparabilis Sir Watkin*.

Pełne: *Orange Phoenix* — żółty z białym, podwójny. *Van Sion* — żółty pełny.

Tacety — *Tazetta*: *Grand Monarque* — biały wielki; *Luna* — biały; *Soleil d'or* — żółty.

Tulipany. Tulipan zasługuje sobie w pełni na miano króla kwiatów wiosennych. Za brak woni płaci wspaniałymi, o bogatej skali barw, kwiatami i dekoracyjnością roślin o szerokich falistych liściach srebrzystej barwy, wychodzących wprost z ziemi.

Jak wszystkie rośliny cebulkowe, tulipany lubią grunt przepuszczalny. Ziemia lekka, pulchna, a jednak żyzna, sprzyja bujnej vegetacji i bogatemu kwitnieniu. Do zasilania kwietników i rabat używamy pod hodowlę tulipanów dobrze przegniłego krowieńca. Na zimę przykrywamy cebule, pozostawiając je w ziemi, warstwą suchych liści, lub słomistego nawozu. Przykrycie należy usunąć w początku marca.

Odpowiednią porą sadzenia cebul tulipanowych jest druga połowa września i październik. Cebule sadzimy na 5—10 cm. głęboko, normując głębokość sadzenia rodzajem ziemi.

Cebula tulipanowa kwitnie raz tylko, po okwitnieniu ginie; wydaje jednak cebulki zarodnikowe dwóch pokoleń, z których jedno zakwita po roku, drugie po dwóch latach.

Tulipany można pozostawić na miejscu lat kilka; czerpią pożywienie z coraz to nowego podłoża, gdyż samorzutnie, przez obumieranie jednych, a wytwarzanie drugich cebul, przesuwają się z miejsca na miejsce.

Przenosząc plantację tulipanów, to znaczy, przesadzając cebule, czekamy, aż liście rośliny żółkną; w początkach sierpnia wyjmujemy cebule z ziemi, czyścimy, obsuszamy i wysadzamy je ponownie w początkach października, dając cebulki większe (które zakwitnąć mają w najbliższym sezonie) na kwietniki, lub rabaty, mniejsze — na odpowiednio przygotowane zagony. Po upływie roku cebulki z zagonów przenosimy na miejsca stałe.

Przy hodowli tulipanów pamiętać należy o tem, że cebule boją się nadmiaru wilgoci, od której giną, to też, obsadzając kwietniki tulipanami, nadajemy im kształt kopców. Ogrodowe (gruntowe) odmiany są następujące:

Tulipany Darwina — wspaniała grupa o bogatym zabarwieniu. Kielich kwiatny osadzony na długiej, wiotkiej łodydze.

Tulipany tureckie — *Tulipa turcica* — kwiaty olbrzymie o postrzępionych brzegach, ubarwienie pstre: ponsowe, żółte, brunatne.

Tulipany są trwałymi i pięknymi kwiatami buketowymi. W ogrodach lubią wystawę lekko zacienioną, która sprzyja trwałości kwiatów. W pełnej wystawie słonecznej szybko przekwitają.

Kosaciec — *Iris*. — W bogatej grupie kosaćców rozróżniamy dwa zasadnicze typy: kosaćce kłaczowe i kosaćce cebulkowe.

Kosaćce kłaczowe należą do typu odporniejszego na wpływy atmosferyczne. Zimują bez przykrycia. Pozostawione szereg lat na miejscu rozrastają się bujnie i kwitną bogato.



Lilja Złota — *Lilium auratum*.

Kosańce cebulkowe wymagają wystawy osłoniętej i starannego przykrycia na zimę. Warstwa suchych liści, lub słomianego nawozu chroni je przed przemarzeniem. Cebule odmian wybitnie delikatnych wyjmować trzeba w sierpniu z ziemi i przechowywać w suchym piasku. Sadzić na wiosnę, jak cebule mieczyków.

Kosańce, niezależnie od odmiany, lubią ziemię pożywną. Gliniasta, lub gliniasto-piaszczysta z domieszką wapna jest dla kosańców idealnym podłożem. Wystawa słoneczna sprzyja bogatemu kwitnieniu.

Najczęściej w ogrodach naszych spotykany typ kosańców (kłaczkowy), rozmnaża się przez dzielenie krzewów co lat kilka.

Kosaciec suzyjski — *Iris Susiana* — znany pod nazwą żalobnego. Ozdobne kwiaty barwy czarnopurpurowej. Delikatna odmiana wymaga wystawy cieplej, osłoniętej i przykrycia na zimę.

Kosaciec Kaempfera — japoński — najwspanialszy. Liczne odmiany i związane z nimi różnorodne ubarwienie. Kwiaty duże. Roślina delikatna; wymaga starannej pielęgnacji.

Kosaciec błotny — *Iris Pseud Acorus*. — Zabarwienie kwiatów żółte. Rośnie nad brzegami wód, lub w wodzie.

Kosańce odznaczają się niezliczoną wprost ilością odmian, których niepodobna wyliczyć. Wysoce dekoracyjne te rośliny zasługują na jak najszerze rozpowszechnienie.

Trudno znaleźć usprawiedliwienie dla tak małego stosunkowo rozpowszechnienia roślin cebulkowych w ogrodach i ogródkach naszych. Wśród omówionych przezemnie szerokim zastosowaniem cieszą się jedynie: narcyzy i lilje białe; z bylin — dalej i z kłaczkowych — irysy, które spotkać można w każdym ogrodzie niezależnie, czy roztacza się on dokoła wspaniałej siedziby, willi, skromnego dworku, czy chaty wiejskiej. Natomiast tulipany, mieczyki, hiacynty, lilje



Iris — Kosaciec.

o rzadszych, a tak wspaniałych odmianach są rzadkimi gośćmi naszych ogródków i ogrodów, niezależnie od tego, że hodowla ich jest łatwa i stosunkowo mało kosztowna, gdyż, jak to wiemy, rozmnażają się łatwo, zapomocą cebul zarodnikowych, które odcinamy od cebuli macierzystej. Jest to prawdopodobnie wynikiem niesłusznego przeświadczenia, że kwiaty te należą do *kosztownych i delikatnych* — przeświadczenia, które łatwo zwalczać na podstawie osobistej praktyki.

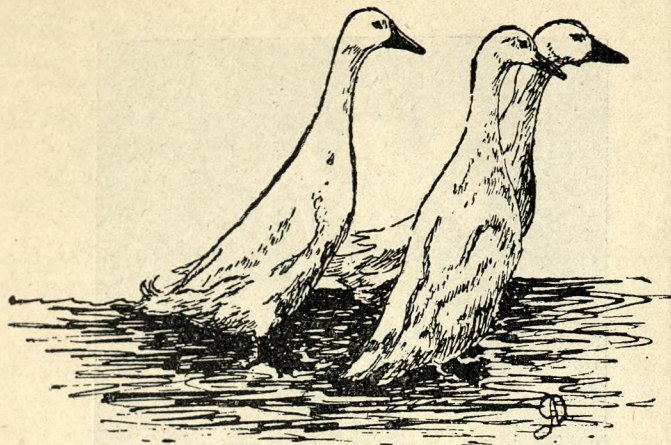
Wanda Dobrzańska.



Kosaciec japoński — Iris Kaempferi.

KACZKI

Z pośród ptaków naszego podwórka kaczka jest jedynym, spotykanym u nas w kraju również w stanie dzikim. Domowa, pospolita kaczka, w każdej prawie wsi przez włościan hodowana, większa jest od swego pierwowzoru — kaczki dzikiej; upierzenie jednak z większymi lub mniejszymi zmianami zachowała to samo. Jest ona cała szaro-brunatna, piórka mają zawsze ciemniejszą obwódkę, na skrzydłach niebieskie lusterko, dwoma ciemnymi paskami odgraniczone. Kaczory pięknie, barwnie upierzone: grzbiet ciemno-szary, ku dołowi przechodzi w popielaty; ogon ciemno-brunatny, ku końcowi jaśniejszy, z czarnozielonem zakończeniem; na łatkach jaskrawo-niebieskie lustro, czarnymi i białymi prążkami obwiedzione; głowa i górna część szyi szmaragdowo-zielona, cienką, białą obrączką odciętą od brunatnych piersi.

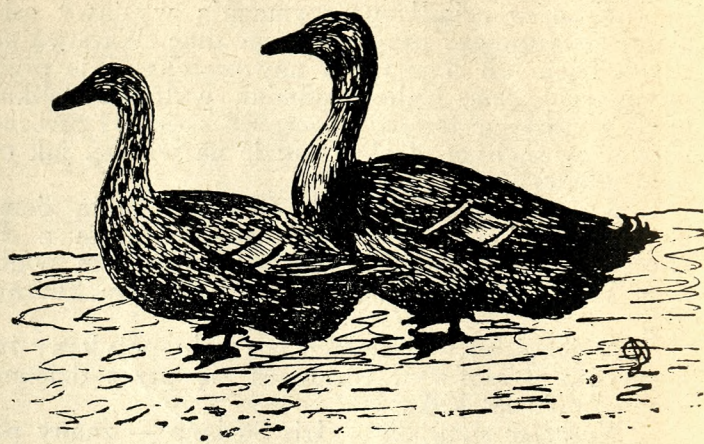


Bieguny indyjskie białe.

Gatunek tych kaczek ogromnie się u nas rozpowszechnił, gdyż jest bardzo łatwy do chowu i byle czem się zadowolnia. Niech tylko będzie w bliskości wsi jakaś woda bieżąca, lub większa stojąca i jakie takie pastwisko, już gospodyni o kaczki dbać nie potrzebuje: same sobie jedzenie wyszukują i dopiero na noc do swoich schronisk się zjawiają. Niosą się zwykle całą zimę i wiosnę i chętnie same wysiadują młode, nie można im jednak na to pozwolić za wcześnie; zniesione jajka (zwykle nocą) należy skrzętnie usuwać, gdyż jeżeli je w gniazdach pozostawimy, kaczki, zniosłszy kilkanaście, nieść się przestają i okazują chęć do wysiadywania ich, gdy tymczasem, normalnie, każda kaczka powinna nam dać 60—80 jaj.

Jakkolwiek tak wiele zalet posiadają te nasze polskie, szare kaczki, postępowi hodowcy oglądają się za innymi rasami, które mają mięso delikatniejsze, wyrastają większe, z gęściejszym, bardziej puszystym pierzem i puchem.

Ras kaczek jest bardzo wiele, każdy prawie kraj ma swoje rodzime — czy to zadomowione dzikie, czy też wyhodowane w drodze selekcji i umiejętności krzyżówek z już istniejącymi szlachetnymi rasami. Najwięcej na uwagę zasługują: *Rueńskie*, najbardziej zbliżone do naszych upierzeniem, ale znacznie od nich

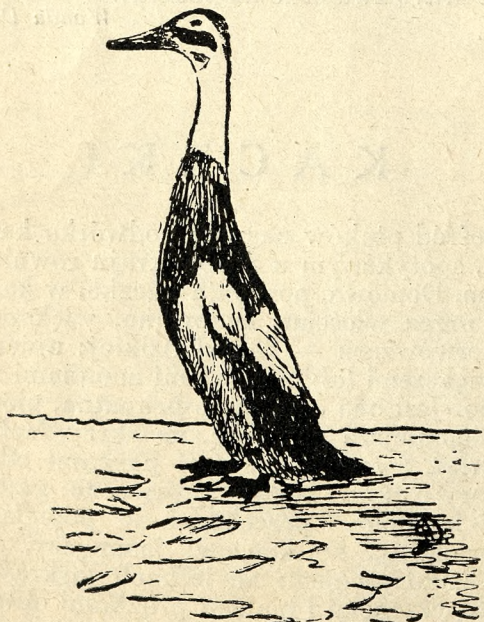


Polskie kaczki szare.

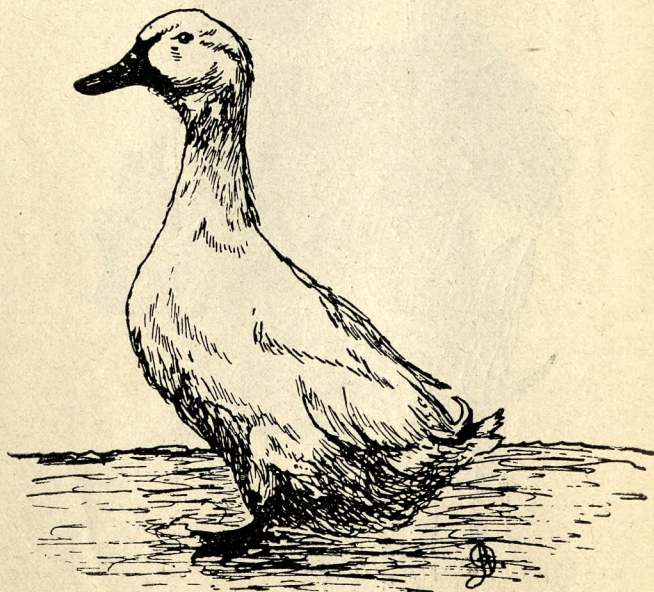
większe; *Aylesburskie* — duże, białe; *Orpingtony* — jasno-cynamonowe; *Szmedzkie* — srebrzysto-popielate z białą piersią; *Japońskie* — *Khaki-Campbell*, oraz najwięcej u nas rozpowszechnione *Pekingi*, jako rasa tuczna, jadalna, i nieśne bardzo *Bieguny indyjskie*, które coraz szersze koło zwolenników zyskują. Tym to dwom rasom ostatnim chcę trochę więcej czasu poświęcić.

Kaczki pekińskie, jak sama ich nazwa wskazuje, pochodzą z Chin, skąd przewiezione zostały do Ameryki, a następnie dopiero do Anglii i do krajów całej Europy. Uczony niemiecki dr. Baldamus twierdzi, iż rasa ta wyprodukowana została z dzikiej azjatyckiej kaczki pingwińskiej; czy tak jest w rzeczywistości — trudno twierdzić stanowczo. W chwili sprowadzenia kaczek tych do Europy, upierzenie ich było kanarkowo żółte, co i teraz jeszcze, choć już coraz rzadziej, daje się spostrzegać w niektórych hodowlach; z czasem dopiero barwę tę zatracali, choć zupełnie śnieżno-białej i dziś jeszcze nie posiadają.

Chów ich jest nadzwyczaj łatwy, wyrastają prędko i odporne są na wszelkie choroby. Młode kaczki, żywione intensywnie od samego początku, już po 10-ciu tygodniach dosięgają 2 kg. wagi i są gotowe na rzeź; kilkomiesięczne zaś sztuki powinny ważyć



Biegun indyjski drubarny.



Kaczor Peking.

3—4 kg. Pozostawione do chowu, w zimie nieść się zaczynają i, o ile im skrzętnie jajka zabierać będziemy pozostawiając tylko jedno w gnieździe dla zachęty, nieść się będą prawie do końca czerwca. Jaja ich są duże, o białej skorupce, może mniej smaczne od kurzych, jeżeli chodzi o jedzenie ich na świeżo, czy też „na miękko“, ale ugotowane „na twardo“, są bardzo smaczne i, jako dodatki do ciasta, czy do siekanego mięsa, nadają się znakomicie.

Wysiadywać młodych same nie lubią i zmusić się do tego nie dają, tak iż jajka ich podkładamy pod kury, lub pod indyczki. Tuczają się bardzo prędko i łatwo, a mięso ich jest białe i nadzwyczaj smaczne. Pekingi mają pierze bardzo obfite i puszyste, a że i kolor jest biały, są więc na rynkach poszukiwane i chętnie nabywane.

Biegunów indyjskich mamy dwie odmiany, różniące się między sobą barwą upierzenia. Pierwsza odmiana jest dwubarwna, w kolorach białym i brunatnym, u kaczorów nieraz tak ciemnym, że aż prawie w czarny przechodzi. Górna część głowy i policzki są ciemne, dalej idzie biała szyja i znów sarnio-brunatne piersi i cały grzbiet, z ogonem włącznie, lotki zaś i końcowa część spodnia tułowia są białe. Nogi biegunów są znacznie wyższe, niż u innych kaczek, lśniaco-żółte, dziób u młodych sztuk żółty z czasem pokrywa się zielonemi plamkami, aż zupełnie zzielenieje. Cała postawa wysmukła, łeb wysoko wzniesiony, ruchy szybkie i chód o wiele pewniejszy, niż u zwykłych kaczek.

Druga odmiana, o tych samych kształtach, ma upierzenie czysto białe, które powstało z systematycznie dobieranych kaczorów o upierzeniu mniej wyrażeniu i prawidłowo znaczone. Bieguny wymagają dla siebie większych wolnych przestrzeni, gdyż potrzebują dużo ruchu i chętnie same sobie wyszukują pożywienie. Idealnym dla nich terenem są spody sadów, naturalnie niczem nie obsiane, które doszczętnie oczyszczają z wszelkich szkodliwych owadów, żab i ślimaków.

Jajka nieść zaczynają już często w piątym miesiącu swego życia i znoszą ich 140—200 sztuk rocznie, a więc więcej od przeciętnej kury. Nie spotykałam jeszcze jaj kaczych na rynkach u nas; zagranicą widuje się je często i są nawet bardzo poszukiwane dla swej wielkości, a do czego można je używać, lub nie, o tem każda zagraniczna gospodyni wie doskonale. Wartość tych jaj jest ta sama, co i jaj Pekingów; pamiętać jeszcze należy, o czem przedtem nie wspominałam, że piana z żadnego kaczego jajka ubić się nie da.

Bieguny nie wyrastają tak, jak pekińskie, waga ich dochodzi najwyżej do 2 i pół kg., ale mięso jest smaczne i chętnie nabywane przez osoby, niezawsze mogące sobie pozwolić na pieczone z dużej, tłustej kaczki.

(c. d. n.)

A. D.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

KOTLETY Z KURY BITE (COTELETTES DE VOLAILLE).

W dużych miastach sprzedają oddzielnie piersi z kury, co ułatwia robienie tej wybornej potrawy. Zdjąć mięso z piersi z każdej strony oddzielnie, zachowując przy niem kostkę od skrzydełka. Skórkę wraz z kośćmi ugotować na smak do sosu. Mięso rozbić jaknajcieńiej, jednak tak ostrożnie, aby się nie rozpadło. Posmarować łyżeczką masła, skropić cytryną, zwinąć w rolkę, nadając kształt kotleta. Utarzać w mące, w jajku, w bułeczce i smażyć w bardzo obficie rozpuszczonym maśle z dodatkiem łyżki oliwy, aby się kotlety nie przypaliły (smażąc na maśle roślinnym, oliwy, dodawać nie należy); powinny ładnie się zrumienić na złocisty kolor, a we środku pozostać soczyste. Solić bardzo mialką solą dopiero przy końcu smażenia, aby mięso pozostało śnieżno białe. Podawać z garniturem z sezonowych jarzyn: szparagów, groszku, zielonej fasolki, kalafiorów, brukselki, lub też z purée kartoflanem, czy fritkami. Można też podać do nich sos pieczarkowy, lub czysty pomidorowy. Jeżeli nie podajemy sosu, to kość piersiową i skórkę wrzucić do smaku, gotującego się na zupe. Żadnej zupy ten dodatek nie zepsuje.

WYBORNE RISOTTO Z RAKÓW

Z udka kury lub ćwierć kilo tłustej, białej cielęciny ugotować dwie szklanki rosółu, dodając marchewkę, pietruszkę i parę gałązek koperku. Ugotować w mocno osolonej wodzie z koprem i cebulą mendel (15 sztuk) sporych raków. Skorupki grzbietowe przechować, mięso z szyjek i łapek również; resztę skorup utłuc i smażyć z piętnastoma deka masła, podlewając wkońcu rosółem i wodą, w której się raki ugotowały. Masło rakowe zebrać do filiżanki, rosół przecedzić, masę ze skorup wycisnąć i na tym rosółu ugotować na sypko piętnaście deka ryżu. Kurę lub cielęcinę usiekać lub przepuścić przez maszynkę, dodać bułeczkę, rozmoczoną w mleku, jajko całe, garstkę koperku, wnętrzności z raków, drobno usiekane, trochę masła. Wyrobić doskonale, nadziać tem mięsem skorupki, ugotować oddzielnie w osolonej wodzie. Na chwilę przed podaniem ułożyć ryż na półmisku, obłożyć wkóło nadziewanemi skorupkami, polać rakowem masłem, aby cały był czerwony, posypać szyjkami, łapkami i drobno usiekanym koperkiem. Podawać bardzo gorące.

JAJA ZAPIEKANE Z PARMEZANEM.

Sześć jaj rozbić z pół szklanką dobrej, gęstej śmietanki i z sześcioma deka tartego parmezanu; nie solić, gdyż dosyć soli mają od sera. Małe tygielki wysmarować grubo masłem, nalać do trzech ćwierci jajecznej masy, na wierzch położyć po kawałku masła. Wstawić w średnio gorący piec i trzymać, aż się jaja zetną. Podawać gorące natychmiast po wyjęciu z pieca. Parmezan można zastąpić ostrym serem szwajcarskim lub litewskim, albo też nawet zwykłym serkiem zielonym.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczy” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnoślaska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszczy”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Dajmy młodzieży prawdziwie dobre podręczniki.

Przystępuję do omówienia bardzo ważnej sprawy, która może poruszyć nie tylko rodziców, mających dzieci w szkołach, ale i cały ogół poważnie myślący. Chodzi mi o podręczniki szkolne, których dobór pozostawia przeważnie dużo do życzenia. Mam wrażenie, że autorzy uczą się dopiero, w jaki sposób mają podawać młodocianym mózgom te, lub owe wiadomości; że dopiero po napisaniu książki i puszczeniu jej w świat, widzą jej braki, które starają się sprostować w następnym wydaniu. Ale, Szanowne Panie i Panowie, miejcie litość nad mózgami dziatwy i kieszeniami rodziców, którzy często od ust sobie odejmują, aby zdobyć się na kupno książek szkolnych.

Takie lekkomyślne puszczanie w obieg podręcznika niedostatecznie opracowanego „na patatajkę”, jak to mówią, uniemożliwia rodzicom zaopatrywanie się w podręczniki używane. Bo zdatne do użytku jest tylko najnowsze wydanie, a zeszłoroczne, którego używało starsze dziecko, kwalifikuje się tylko do rozpalania w piecu.

Wejdźmy w położenie ubogiej ucznicy, lub ucznia, którzy lekcjami zapracowują na utrzymanie siebie, lub rodziny. Jak takie lekkomyślne traktowanie sprawy utrudnia im egzystencję i ukończenie nauk!

Ale poco szukać biedaków. Biermy za przykład budżet średnio-zamożnego urzędnika, mającego kilkorozro dzieci w różnych klasach. Ile trzeba pieniędzy z początkiem roku szkolnego na podręczniki?! Często i cały zarobek miesięczny nie wystarczy na to.

Gdyby treść wszystkich podręczników była należycie obmyślana, nie byłoby takich dziwologów, jak np. w jednym, bardzo zaleconym i rozpowszechnionym. W dawniejszym wydaniu jest prawidło, że, *klóć*, *próć* pisze się przez *o*, a w świeższym zaleca autor te same słowa pisać przez *u*. Pytam, jak ma postąpić wobec uczniów, których część uczyła się tak, a druga inaczej, nauczyciel, aby nie narazić na szwank autorytetu swego, lub autora?

Już nie chodzi o zakłopotanie nauczyciela w tym wypadku, ale o nieobniżanie piedestału nauki i uczo-nych w oczach młodzieży, która potem lekceważąco będzie się odzywała o tych, którzy powinni być dla niej wyrocznią w pewnych kwestjach. Widocznie władze szkolne widzą braki w podręcznikach, jeżeli tak często je zmieniają, ale to jest tylko półśrodek, ze szkodą mózgów młodzieży. Najracjonalniejsze byłoby utworzenie przy ministerstwie sekcji, czy rady pedagogów, któraby z całą sumiennością i znajomością rzeczy zajęła się rozpatrywaniem treści podręczników szkolnych i dopiero po gruntownym, a wszechstronnym rozpatrzeniu, te tylko podręczniki opatrzyła pieczęcią „dozwolone” lub „zalecone”, które w zupełności odpowiadają wymogom i metodom współczesnej pedagogiki, oraz traktują przedmiot z całą jego znajomością.

Wówczas starsze i nowe wydania byłyby te same, a państwo zaoszczędziłoby dwa razy tyle papieru, pieniędzy i nerwów swoich obywateli.

M. K. z Podlasia

Trzeba to zmienić (w odpowiedzi p. W. z Podola).

Pani W. z Podola artykuł swój „Pod pręgierz” poddała pod ocenę pań. Nie wiem, jaka ona będzie, ale pozwolę sobie ja, mężczyzna, odpowiedzieć.

Otóż, choćby tylko z punktu widzenia sprawiedliwości, mężczyzna, w wypadku dzieciobójstwa, popełnionego przez matkę, powinien być bezwzględnie pociągany do odpowiedzialności i karany narówni z matką. Jeśli bowiem za zwykły występki, czy zbrodnie karze się nie tylko bezpośredniego sprawcę, ale również podżegacza i pomocnika, dlaczegoż, w wypadku największej zbrodni: zabicia człowieka, ma być karana tylko kobieta, istota z natury swej słabsza, a mężczyzna, moralny i fizyczny sprawca zbrodni, nie jest karany? Przecież ta pryncypalna zasada podwójnej moralności, piętnująca kobietę, a osłaniająca mężczyznę, jak określa dr. Józef Maćko w książce swej p. t. „Prostytucja”, jest czemś tak potwornem, tak niesprawiedliwem i sprzecznem ze zdrowymi pojęciami, że czas już najwyższy skończyć z tolerowaniem takiego stanu.

Wypowiadając swoje zdanie, nie mam bynajmniej zamiaru bronić dzieciobójczyń, lub usprawiedliwiać ich postępowanie. Zbrodnia pozostanie zawsze zbrodnią i musi być odpowiednio napiętnowana. Niemniej, jeśli już stało się nieszczęście, jeśli grzechu dopuściły się dwie osoby, dlaczego bolesne następstwa tego ma ponosić tylko jedna z nich, i to najczęściej, ofiara nieświadomości życiowej, zbyt niewiary w „szlachetność”, „honor” i „przysięgi” niektórych mężczyzn, którzy w sposób niegodny wykorzystują tę wiarę?

Mężczyzna, który uwiedzie nieświadome dziewczę, a później pozostawi je na pastwę losu, nie troszcząc się ani o to, co ono pocznie w tym stanie, ani jak ułoży się jego życie późniejsze, taki mężczyzna, podkreślam to z naciskiem, zasługuje na surową karę. A jeśli winowajcą był ktoś, kto sądzi, że, mając pieniądze, tupet i „plecy” nie potrzebuje się z nikim i niczem liczyć, dla odstraszonego przykładu powinien być jeszcze surowiej ukarany. Byłoby to może radykalne, ale konieczne i jedynie skuteczne lekarstwo na uzdrowienie stosunków w tej dziedzinie.

Jak są ohydne, przedstawia przykład z życia, znany mi osobiście. Pewien „inteligent” (a jakże!) zawrócił głowę dziewczynie wiejskiej, swej gospodyni. Gdy skutki grzechu stały się widoczne, wymówił jej miejsce, zarzucając zepsucie. Naprawdę nieszczęśliwa dziewczyna zaklinała się, że oprócz niego, nie znała nikogo z mężczyzną. „Dbały o moralność” dwojga swych dzieci (był wdowcem), usunął ją przymusowo, a gdy bezdomna dziewczyna oparła się, wyrzucił ją wprost na ulicę i zawiadomił policję, że „jakaś ulicznica” napastuje go. Ponieważ był to oficer rezerwy odznaczony, zdaje się, „za męstwo” i inne „cnoty” bohaterkie, ponieważ był jednym z tych, którzy pracują „ideowo, a nie zarobkowo” dla społeczeństwa (kilka prezesur, godności, patronatów i t. p.), a więc mający patent na człowieka doskonałego i ofiarnego, (co za trafny i doskonały, z głęboką znajomością rzeczy i ludzi napisany artykuł p. Janiny Strzeleckiej!

Więcej takich artykułów, a otrząśnie się społeczeństwo ze szkodliwych pasożytów, którzy pod pokrywką ideowości zapelniać chcą swą pustkę duchową i brak własnie ideowości, szerząc kult nieróbstwa i dylantyzmu, a zapoznają wszelką inną pracę i poświęcenie, gdy te, z konieczności, by móc przecież z czegoś żyć, są wynagradzane), policja dała wiarę temu panu, bo jakżeby nie wierzyć tak wielkiemu „społecznikowi“?

Ze wzrokiem, w którym już nie rozpacz, nie przekleństwo, nie prosba o litość, lecz cierpienie, cierpienie niepojęte, niewysłowione, wznoszące się gdzieś aż pod same niebiosy, oddaliła się dziewczyna od progu „pana“. W nocy urodziła pod schodami sąsiedniego domu bliźniaczki. Litościwe sąsiadki zaopiekowały się ofiarą. „Pan“ nocy tej szalał i spijał szampana, bo właśnie był bal na „Kroplę mleka“ dla opuszczonych dzieci; jako prezes, musiał godnie wystąpić. (Że tam ktoś narzekał, że w ciągu dwóch dni napróżno tracił czas, nie mogąc załatwić sprawy urzędowej z powodu nieobecności szefa biura, który pracując „ideowo“, na balu, nie bardzo troszczył się o pracę „nieideową“, płatną, w biurze, ktoby poważnie tem się zajmował!) Gdy „pan“ dowiedział się o urodzeniu bliźniąt, raczył po tygodniu wspaniałomyślnie ofiarować ich matce... 5 złotych. Matka przyjęła, bo od dwóch dni nie prawie nie jadła, a pracować na siebie i dzieci... jeszcze nie mogła. Pierwsze odruchy litości ze strony sąsiadek też się już zmieniły. Matka była gotowa nawet podziękować „panu“ za owe grosze, bo umożliwiała jej kupno mleka dla... jego dzieci, inaczej umarłyby z głodu.

Oto jedna z tysiącznych tragedji życiowych, w których najmniej zaszczytna rola przypada mężczyźnie. Ten, który zdobywa krzyże za waleczność wobec wroga, staje się nędznym tchórzem, gdy chodzi o przyznanie się do współwiny z kobietą. Ten, który „poświęca“ się dla społeczeństwa, jednocześnie zezwala na śmierć głodową albo wrzucenie do ustępu swych dzieci! Bóg? Sumienie? Poczucie odpowiedzialności moralnej? Ktoby o tem myślał!... Otóż, trzeba niećne, niemęskie i niegodne człowieka postępowanie karać prawem i opinią. Trzeba obmyśleć sposób, aby ciężaru wychowania niesłubnego dziecka nie pozostawiać wyłącznie na barkach nieszcześliwej matki. Trzeba wprowadzić poszukiwanie ojcostwa, co ułatwia dziś znakomicie analiza krwi, i włożyć na niesłubnego ojca odpowiedzialność i obowiązki.

Trzeba zawrócić z niewłaściwej drogi seksualnej mężczyznę współczesnego, aby stał się godnym miana opiekuna płci słabej, a nie złodziejem jej jedy-nych nieraz dóbr duchowych, wzamian których daje tylko hańbę i złamane życie ziemskie, a może i wieczne.

Ku rozwadze, póki jeszcze czas.

A. H. z Sosnowca

wód dość popłatny, a na dobre, zamiłowane w swej pracy higienistki jest dziś duże zapotrzebowanie we wszystkich przychodniach, żłobkach, stacjach opieki i t. p. Jeśli dziś p. W. nie ma możliwości rozpocząć nowej nauki, musimy radzić sobie z temi wiadomościami, jakie posiada. Otóż, mój projekt byłby taki: Ogłosić w paru miejscowych pismach, że osoba z dzieckiem, znająca dobrze krawiecczynę, wyjedzie na miesiąc na wieś bezpłatnie, t. j. odrabiając szyciem za życie swoje i dziecka. Wprawdzie pora jest spóźniona, bo dzieci do szkół będą już wysłane, kto jednak ma drobne dzieci w domu, przystępuje teraz właśnie do przygotowania ich ubiorów zimowych. Uważam, że taki pobyt byłby wskazany: 1) jako wypróbowanie sił krawcowej w samodzielnej pracy i nabranie pewności siebie w wykonaniu roboty, czego nie sposób nabrać w przeciągu paru miesięcy nauki, 2) jako danie się poznać klientkom wiejskim i uzyskanie stosunków w tej sferze, bo osoba, która z szycia w jej domu była zadowolona, będzie chętnie nadal z pracy p. J. korzystała i poleci ją swym znajomym i sąsiadkom.

Co do dalszego programu, to zaznaczyć muszę, że na Pomorzu blichtr zewnętrzny zupełnie nie popłaca, można suknie przymierzać w pokoiku jaknajskromniejszym i nie odstraszy to napewno klientek, byle było czysto i nie brakło dużego lustra, umiejętnie ustawionego. Krawcowych miernych mamy tu b. dużo, powodzenie więc zapewni tylko bardzo umiejętne i dokładne wykonanie. Do drobnych robót można dostać bezpłatne uczennice-pomocnice, jeśli p. W. ma prawo uczenia. Z czasem możnaby zakres robót rozszerzyć wprowadzając trykotarstwo (garsonki i t. p.). Specjalistka w tym dziale, o ile wiem, jest w Toruniu tylko jedna i zawałona jest robotą.

Żadnych obietnic, oczywiście, zgóry robić nie mogę. Jeśliby jednak p. W. chciała się ze mną skomunikować, chętnie będę jej pomocna. Poparcie dla jej pracowni wśród mych znajomych mogę obiecać tylko w tym wypadku, jeśli rzeczywiście będzie w możliwości zadowolić ich wymagania. Nadmieniam przytem, że szczególnie w początkach nie można stawiać zbyt wygórowanych cen za robotę. Praca dziś jest tania, popyt na pracowników mały. Pensje biuralistek wykwalifikowanych, z dłuższą praktyką, wahają się od 180 do 280 zł., na większe więc zarobki początkowo nie można liczyć, jak przeciętna tych sum. Jeżeli więc uda się p. W. dostać robotę 10 sukien nowych miesięcznie, będzie to zarobek na początek możliwy, licząc, że drobnymi, robotami, przeróbkami i t. p. pokryje się podatek przemysłowy, wzgl. dochodowy, amortyzację maszyny, koszt dodatków i t. p.

Szczerze będę rada, jeśli moje spostrzeżenia będą mogły przydać się p. W. i serdecznie życzę jej powodzenia.

M. Świeżyńska — Toruń.

Czy dobra rada? (w odpowiedzi p. Irenie W.)

Ponieważ w tych dniach dopiero wróciłam z wakacji, odpowiedź moja na list Sz. Pani, a tem samem na list w „Naszej Mównicy“ umieszczony, z którym również po powrocie już zapoznałam się, będzie może spóźniona; posyłam ją niemniej, choćby dlatego, aby jego autorce dodać wiary w swe siły i dać dowód, że interesujemy się jej losem.

W założeniu samem uważam krawiectwo damskie za rzecz mało popłatną w stosunku do wkładanej w nie pracy, i gdyby autorka listu była się zwróciła zapytaniem: „co począć?“ przed nauką szycia, byłabym raczej doradziła jej ukończenie parumiesięcznych choćby kursów dla higienistek. Jest to za-

Śladami żywych pomników.

Nad samą granicą Mazurów Pruskich, między Mławą i Chorzalami, na terenie, być może, dawnych bohaterskich walk wielkiego Juranda ze Spychową, leży osada Janowo, doszczętnie wraz z kościołem zniszczona w czasie wojny przez Niemców, a po odbudowie, obecnie znowu zniszczona w połowie przez pożar. Mimo nędzy i zniszczenia, miejscowość ta jest przykładem twórczej obywatelskiej pracy. Istnieje tu, dzięki umiejętnej pracy miejscowego proboszcza, księdza Wł. Białego, odznaczonego za udział w bojach z bolszewikami krzyżem Virtuti Militari: Kasa Spółdzielcza, Straż Ogniowa, Kółko Rolnicze, Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej, Związek Obywatelskiej

Pracy Kobiet, Koło Macierzy Szkolnej (które założyło bibliotekę), Koło Ligi Obrony Powietrznej Państwa, Przysposobienie Wojskowe, biblioteka i czytelnia parafjalna oraz doskonale wyposażone i zupełnie nowoczesnie urządzone przedszkole, będące wspólnym dziełem księdza i pań z Obywatelskiej Pracy Kobiet. Przedszkole gromadzi od 40 do 60 dzieci, które są dożywiane przed i po południu.

Poza budzeniem inteligencji i propagowaniem kultury, niesłychaną wartością pod względem zdrowotnym jest wychowywanie dzieci w higienie i czystości, której tak bardzo brak wsiom i miasteczkom polskim, zarośniętym niejednokrotnie brudem. Dzieci z przedszkola będą krzewicielami czystości własnego ciała, czystych mieszkań i ubrań, oraz szerzycielami zdrowia i higieny w Polsce. Przedszkole dużo kosztuje: opłaty jedno i dwuzłotowe zaledwie w minimalnej części pokrywają wydatki na opłacenie i urządzenie lokalu, dożywianie i wynagrodzenie kierowniczkę przedszkola. Wydatki pokrywa częściowo starostwo w Przasnyszu, a w lwiej części Zarząd Zrzeszenia Obywatelskiej Pracy Kobiet w Warszawie; pieniądze te jednak oprocentowują się wysoko, gdyż pozwalają wychowywać nowych, kulturalnych obywateli kraju, tworzących polską teraźniejszość i będących żywym pomnikiem rzetelnej pracy.

W maju odwiedził Janów Pan Prezydent Rzeczypospolitej, Ignacy Mościcki; zostawiając w parafji przepiękny, żywy pomnik: polecił wypłacić (już dawno przyznane) 50 tysięcy na odbudowę kościoła i osobiście złożył na ten cel znaczną ofiarę. Jest więc fundatorem kościoła i, jako fundator i Prezydent Państwa, żyć będzie w pamięci tutejszej parafji, bo stworzył dzieło żywe, dzieło Boże; pomnik ten, dzięki Jego pomocy wzniesiony, będzie najpiękniejszym znakiem przymierza Państwa z Bogiem i narodem. *H. S.*

Do starszych (*w odpowiedzi p. Kiwnarskiej*).

Ogromnie ucieszył mnie i wywołał szczere uznanie artykuł p. Jadwigi Kiwnarskiej: o szacunku dla starszych.

P. Kiwnarska poruszyła nadzwyczaj aktualną i bardzo a bardzo przykrą kwestję i rozpatruje ją tak dokładnie i rzeczowo, że dodać tu już nie można. Chciałabym tylko powiedzieć kilka słów, jako przedstawicielka młodych, jako jedna z tych, w których obronie stanęła p. Kiwnarska. Jak już zaznaczyłam, kwestja to bardzo przykra, tem przykrejsza, jeśli się zważy, że nie chodzi tylko o zachowanie się młodych wobec starszych (i odwrotnie) *w salonie*, co właśnie podkreśla p. Kiwnarska.

Niemilo, gdy starsi gorszą się naszym strojem i tańcem, ale już boleśniej jest, gdy nie chcą uznać naszych obecnych dążeń i celów, naszych postulatów i ideałów. Fałszywe bowiem jest twierdzenie, że młódzież XX wieku nie ma ideałów: owszem, ma je, tylko odmienne, niż te dawne, tylko przystosowane do ducha czasu. Celem i dążeniem młodej dziewczyny XIX wieku było wyjść za mąż, stać się dobrą żoną, matką i gospodynią, a całym światem jej był najpierw dom rodzinny, później dom męża i życie jej upływało spokojnie, zawsze w cieniu czyichś opiekuńczych skrzydeł. Dzisiaj dążeniem i celem młodej dziewczyny jest zdobycie niezależności, walczy o nią nieraz z trudem i mazurem. Wstępuje w życie sama śmiało i odważnie, znosi troski i zmartwienia, znane dawniej tylko mężczyźnie.

A zdobycie tej niezależności jest już dziś koniecznością życiową. Ale ta młoda dziewczyna dzi-

siaj jeszcze spotyka na swej drodze drwiący uśmiech i całkowite niezrozumienie ze strony starszych. „Poco kobietom uniwersytet! Zajmujecie miejsce mężczyzn! Do rondli i zaprażki!” są to zdania na porządku dziennym.

Ja sama rozmawiałam z jednym starszym panem, który był oburzony, że w Domu Studentek nie ma jakiejś pani (coś w rodzaju ochmistrzyni), której należałoby się opowiadać za każdorazowym wychodzeniem. Nie mógł ten pan zrozumieć, że studentka, to przecież nie pensjonarka, że liczy czasem około 30 lat, nieraz pracuje zawodowo, a wykłady i zajęcia uniwersyteckie trwają często do 9-ej wieczór. On rozumiał tylko jedno: jeśli nie ma ochmistrzyni, w takim razie dzieją się straszne rzeczy. No tak, bo przecież w jego czasach czegoś podobnego nie było, a zresztą znał własną jedną studentkę, która chodziła sama do kawiarni.

Smutno jest, jeśli młodzi zapominają, że oni będą też kiedyś starymi; ale jeszcze smutniej, gdy starzy zapominają, że byli niegdyś młodymi. Nie trzeba też sądzić o ogóle na podstawie znajomości złych wyjątków. Troszkę tylko dobrej woli, trochę chęci porozumienia, a jestem pewna, że młodzi z radością pochwycą wyciągnięte ku nim dłonie starszych. Jakby to miło, jakby dobrze było spowiadać się ze swych planów i zamierzeń, choćby przed własnym ojcem, nie wywołując sceptycznego uśmiechu i stereotypowego powiedzenia: „Za naszych czasów tego nie było i było dobrze”. Dlaczegoż nie uznać, że może i my coś dobrego robimy?

Trochę tylko dobrej woli i w waszej mocy, Ojcowie i Dziadkowie, by znikła między nami zimna niechęć i konwencjonalna obłuda.

Grodecka Zofja — Lwów

Musimy mieszkać (*w odpowiedzi p. Ninie M.*).

Żywotną poruszyła Pani sprawę, ale bardzo trudną. Chodzi o znalezienie przyczyny zła i zaradzenie. Bezspornie najważniejszą przyczyną jest słaby ruch budowlany. Zdaje mi się jednak, że komorne, zwłaszcza w Warszawie, jest w domach starych, objętych ochroną lokatorów, za tanie. Wygląda to na paradoks, jednakże, w roku kryzysu gospodarczego, coś za tanie! Ale zastanówmy się tylko: za 4—5 pokoi płaci się w starych domach 250—300, najwięcej, złotych miesięcznie. Naturalnie, że idzie za tem „odstępne”, kupowanie mieszkań i trzymanie dużych lokali przez osoby zupełnie ich niepotrzebujące, a mające zato doskonały proceder z odnajmowania sublokatorom. Gdyby podnieść komorne w starych domach, kto wie, czyby znalezienie mieszkania nie stało się łatwiejsze. Żato w nowych domach należałoby komorne obniżyć i zabronić ustawowo brania po 250 i 300 zł. miesięcznie za dwa pokoiki, zabronić również ściągania komornego za rok, lub pół roku zgóry. Przecież większość tych domów buduje się z kredytów Banku Gosp. Krajowego, któremu panowie właściciele lub kooperatywy oddają pożyczkę przez długie lata, a gromadzą sobie kapitał z pobranych zgóry czynszów. Jedną ręką biorą z Banku, drugą od lokatorów, skandal!

Sprawa mieszkaniowa, niebywale ważna dla kobiet, powinna wejść w program działalności zrzeszeń kobiecych, działających na terenie stolicy i prowincji, jak np. Związek Obyw. Pracy Kobiet. Mają te stowarzyszenia wiele działów pracy, wiele sekcji, zajmują się sprawami gospodarczymi, niechże i o tej tak bolesnej pomyślą.

Halina W. — Warszawa.